

FOK/399/2/102

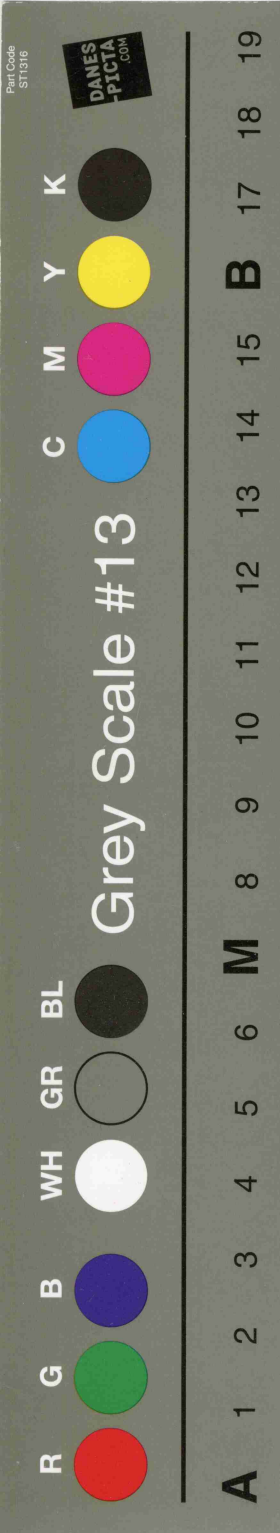
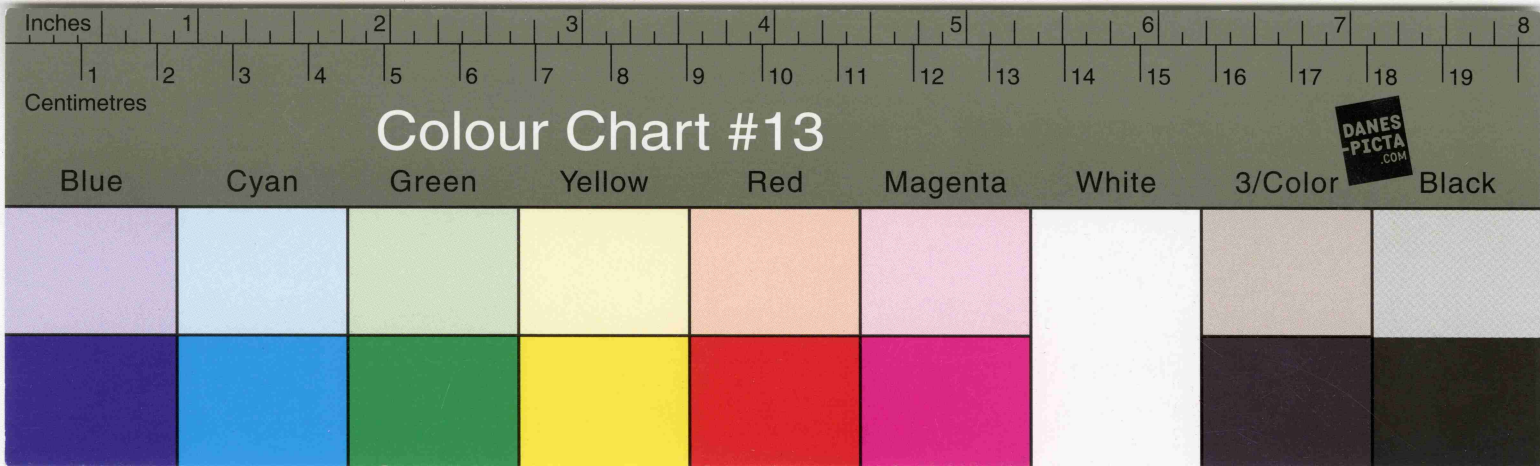
ARCHIWUM FUNDACJI OŚRODKA KARTA

Kolekcja Danusza Baliszewskiego

Prokurator Czesław Łapiński

1948, 1990, 1998-1999

FOK/399/2/102



Czesław Iapiński
ul. Marymoncka 79 m.5
01-902 Warszawa

Warszawa, dn.17 maja 1990 r. 1

Szanowny Panie Profesorze! Wywiad z Panem, zamieszczony w "Życiu Warszawy" z 28-29 kwietnia i zatytułowany "W majestacie łezprawia" stworzył wokół mnie atmosferę linczu. O moim, niestety rzeczywistym, udziale jako oskarżyciela w tym tragicznym procesie pisano już wcześniej, ale informacje te miały charakter wyłącznie rzeczowy i nie zamykały mi drogi do ewentualnego wyjaśnienia przed uprawnionym i kompetentnym gremium okoliczności dotyczących mojej służby wojskowej, a w tym właśnie tkwi sedno zagadnienia, oraz nieoczekiwanego włączenia mnie do Pana sprawy. Fragnę w tym miejscu stwierdzić, że w okresie od początku 1947 do dnia zdemobilizowania mnie w lutym 1950 roku pełniłem służbę w Departamencie Służby Sprawiedliwości MON i z tego tytułu z typową pracą prokuratorską, to jest nadzorowaniem śledztw ani popieraniem oskarżenia nie miałem nic wspólnego. W naturalnej konsekwencji nigdy nie zetknąłem się z Różańskim, Fejginem bądź z którymkolwiek ich podwładnym.

Obecnie, gdyby przyjąć za prawdę sugestię wpływającą z Pana wywiadu, nie mam nic do wyjaśniania. Wszystko, co mnie dotyczy stało się oczywiste, skoro zapewne byłem jednocześnie funkcjonariuszem MBP.

Być może, wypowiedź ta jest następstwem błędnego odczytania Pana słów przez dziennikarkę, co w związku z innymi fragmentami wywiadu wydaje się całkowicie prawdopodobne, ale teraz już wszystko zależy od Pana. Jedynie Pan osobiście, od autorsko mógłby skutecznie wyjaśnić powstałe nieporozumienie, bądź skłonić do tego redakcję. Moja samodzielna akcja, w wypadku nieżycziwego jej potraktowania może mi przynieść szkodę.

Panie Profesorze! Czy nie jest możliwe, aby po upływie czterdziestu dwóch lat zgodził się Pan spotkać ze mną? Rzeczywistość tamtego okresu jest jakże skomplikowana, wielowarstwowa i nie do końca wyjaśniona. Podobnie pogmatwane były losy ludzi objętych tym strasznym systemem przeciwko człowiekowi. Nasza rozmowa mogłaby się przyczynić do uporządkowania wchodzących w rachubę faktów i do zrelatywizowania ocen. W granicach tego, co jeszcze pamiętam odpowiem na wszelkie pytania. Do zadawania ich jest Pan najbardziej uprawniony.

Kieruje Pan Związkiem, którego jednym z zadań jest ustalanie prawdy o tamtym okresie. Mógłbym więc może przyczynić się do właściwego określenia funkcji, stopnia zaangażowania i stanu świadomości różnych grup w obrębie wojskowej służby sprawiedliwości. Stanowiliśmy środowisko niejednorodne.

Łączę wyrazy poważania.

Czesław Iapiński
/Cz. Iapiński/

2

Właściwe, zgodne z prawdą historyczną określenie charakteru tego procesu, ^{coraz} ocena mojej w nim roli wymagają znajomości następujących istotnych faktów.

Jest oczywiste, że w okresie mojej służby wojskowej do lutego 1950 roku działalność represyjna przebiegała w dwóch istotnie różniących się nurtach. Jeden, to kolejna, planowa eksterminacja określonych grup społecznych między innymi przedwojennych wyższych oficerów, poprzez montowanie procesów opartych na zbrodniczym kłamstwie i na świadomym łamaniu obowiązującego prawa. Przestępcza ta akcja nabrała na sile chyba dopiero pod koniec 1948 roku a wiadomości o jej rozmiarach i zwyrodnieniach nawet dla nas prawników wojskowych były niepełne i często bardzo opóźnione.

Drugi nurt polegał na zgodnym wprowadzie z obowiązującym porządkiem prawnym, lecz nacechowanym szczególną surowością karaniu za rzeczywiste prowadzenie działalności, często zbrojnej i połączonej z bratobójczymi walkami oraz przelewem krwi, przeciwko reżimowi.

Oficerowie wojskowej służby sprawiedliwości brali lub musieli brać udział w obydwu tych nurtach, ale nigdy dla wielu z nich nie było obojętne, zwłaszcza zaś dzisiaj, do którego z nich są przypisywani.

W sprawach o czyny nie popełnione, opartych na sfabrykowanych dowodach ~~dowodach~~ oraz na wymuszonych torturami samooskarżeniach i pomówieniach zapotrzebowanie MBP na uległych prokuratorów było całkowicie zaspokojone. Prokuratorzy tacy dawali bez podstaw sankcje na areszt, nie reagowali na skargi więźniów ani ich rodzin, wizytując areszty nie dostrzegali tego, co widzieć mogli i powinni.

Grupa tzw. dyspozycyjnych prokuratorów, skupionych głównie w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej była niewielka, tylko kilka nazwisk wymienia raport komisji sędziego Szerera, ale całe odium przez tę grupę wywołane przeniosło się w świadomości przeciętnego obywatela na wszystkich dawnych oficerów służby sprawiedliwości. Na mnie, ponieważ popełniam tę nieostrożność, że na dal jeszcze żyję, skrupia się teraz nie różnicujące, wierne stalinowskiej zasadzie zbiorowej odpowiedzialności potępienie. Pragnący błysnąć swym talentem dziennikarze także mają mnie pod ręką, zwłaszcza, gdy nie czują się zniewoleni zawodową powinnością wysłuchania kogoś jeszcze przed egzekucją.

Sprawa będąca przedmiotem zainteresowania należy w zupełności do tego drugiego nurtu represyjnego a wyroki w niej w obydwu instancjach sądowych zapadłe opierają się na obowiązujących wówczas drakońskich przepisach tak zwanego Małego Kodeksu Karnego.

W maju 1948 roku ku całkowitemu mojemu i mojego bezpośredniego przełożonego w Departamencie Służby Sprawiedliwości MON zaskoczeniu zostałem ^{zaledwie} na kilka dni przed terminem rozprawy delegowany do Naczelnej Prokuratury Wojskowej w celu objęcia oskarżenia w zbiorowej sprawie szpiegowskiej. Jako powód podano mi nagłą chorobę właściwego prokuratora i brak na miejscu zastępcy.

Od pierwszej chwili znalazłem się w szczególnej atmosferze, jaka to-

- 2 -

3

warzyszyła sprawom tego rodzaju. Pamiętam na przykład, że jako "obcy" nie mogłem z aktami sprawy zapoznawać się w swoim pokoju, lecz jedynie na terenie Naczelnej Prokuratury.

Studiując akta nie znalazłem w nich niczego, co by mogło wskazywać na niewłaściwe i nieuczciwe przeprowadzenie śledztwa. Wyjaśnienia oskarżonych jak również zeznania świadków miały charakter spontaniczny, brzmiały wiarogodnie, były szczegółowe i wzajemnie się pokrywały. Istniało archiwum organizacji a także indywidualnie noszona i zmagazynowana w trzech, jak się przypominam, specjalnie sporządzonych schowkach, broń w dużych ilościach. Jak wynika z niedawnego artykułu w "Prawie i życiu", były tam 2 rkm 4 pm, kilkadziesiąt granatów, ponad 600 sztuk amunicji i trotyl.

Zapoznawszy się z materiałami sprawy ujrzałem całą beznadziejność sytuacji procesowej grona ludzi, którzy z pobudek patriotycznych podjęli nierówną i w pojałtańskiej rzeczywistości całkowicie pozbawioną szans walkę.

Prawdziwym szokiem dla mnie stało się przeświadczenie, że muszę oskarżać między innymi żołnierza o tak niewiarogodnie bohaterskiej przeszłości, a ponadto, że mógł on w ogóle nie być aresztowany, gdyby podporządkował się przywiezionemu przez łączniczkę rozkazowi powrotu do Londynu, gdzie uznano, że jest spalony.

Żądania oskarżycielskie wraz z ich politycznym uzasadnieniem dostawiałem na piśmie w obecności naczelnego prokuratora od jego zastępcy, głośnego już wkrótce ppłk. Henryka Podlaskiego. Pozostawiono mi swobodę w zakresie stanu faktycznego zarzutów.

Wykorzystując swoje przypadkowe znalezienie się w tej sprawie podjąłem próbę wpłynięcia na złagodzenie żądania najwyższego wymiaru kary wobec śp. rtm. Pileckiego z uwagi na jego zasługi w walce z hitleryzmem, oraz w stosunku do Marii Szelałowskiej z racji jej płci i mniejszego zaangażowania. Próba ta została pokwitowana uwagą, że sądy obydwu instancji na pewno ustosunkują się jakoś do wysuniętych przeze mnie okoliczności, gdyby zaś nie, to i tak żaden wyrok w tej sprawie nie będzie wykonany. Bynajmniej nie świadczy to o mojej naiwności, że odpowiedź tę uznałem za dość wiarogodną. Praktyka prokuratorska istotnie zna tzw. demonstracyjne żądania kary, a ponadto w tamtym okresie Bierut nierzadko stosował łaskę.

Na rozprawie, która przebiegała całkowicie zgodnie z regułami praworządnego procesu oskarżeni ani ich obrońcy nie podważyli podstawowych zarzutów aktu oskarżenia, jak również nie powoływali się na stosowanie przymusu w toku śledztwa.

Niedawno dowiedziałem się, że Witold Pilecki w swej prośbie o ulaskawienie powtórzył tezę obrony, że materiały gromadził i przekazywał na użytek II Korpusu, a więc nie dla obcego wywiadu. Teza, której słuszności nie można zakwestionować, ale wówczas oznaczała ona przyznanie się do popełnienia zagrożonej najwyższą karą zbrodni.

Szczególną wymowę, ilustrującą złożoność tamtych czasów i zaskakują-

cą zmienność postaw ludzkich ma to, o czym poinformowano mnie w związku z osobą objętego tym procesem T. Płużańskiego. Otóż, jak wynika z jego prośby z 1 lipca 1955 roku /Tom V akt sprawy, karty 434-437/ o ułaskawienie poprzez zwolnienie warunkowe, uznał on słuszność skazania go na karę śmierci "Byłem winien i zostałem ukarany, jak karzą wszystkie kraje i systemy za podobne przestępstwa". Zarazem stwierdził, że po szczegółowym i dogłębnym zapoznaniu się z literaturą marksistowską "padła jedyna przegroda dzieląca mnie od Polski Ludowej", wobec czego zapragnął "znaleźć się wśród ludzi budujących wolność, pokój i socjalizm".

Prośba T. Płużańskiego nie jest bynajmniej li tylko przedsięwzięciem taktycznym w staraniach o zwolnienie przedterminowe, bo, jak mnie poinformowano, ^(rzeczywiście) wybaczył on reżimowi i włączył się konkretnie w budowę socjalizmu. Po wyjściu 4 czerwca 1956 roku na wolność, obciążony udziałem w szpiegowskiej sprawie, bo proces rehabilitacyjny tutaj nie wchodził w rachubę, zdołał bez trudności ukończyć studia uniwersyteckie, otrzymać legitymację partyjną i zrobić karierę naukową, w ramach której wykładał między innymi na uczelni partyjnej, a więc na ważnym froncie ideologicznym.

Obecnie, w wyniku kolejnej transformacji T. Płużański występuje często i publicznie jako organizator i działacz Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego oraz przy tej sposobności pomawia o współpracę z bezpieczeństwem ludzi, z którymi zetknął się w czasie swego procesu.

Do prof. Płużańskiego wysłałem list proponując mu spotkanie, gdy w wypowiedzi dla "Życia Warszawy" uznał za prawdopodobną moją przynależność do MBP. Inicjatywa moja jest pozbawiona sensu, ale wiedzę na temat adresata uzyskałem dopiero teraz.

Co się tyczy mojego, niestety rzeczywistego udziału w tej sprawie, to powstaje pytanie, czy mogłem coś zrobić na korzyść oskarżonych? Otóż nie miałem ~~najmniej~~ najmniejszych możliwości manewru, oskarżenie opierało się na niekwestionowanych dowodach, a jawna odmowa udziału w tym właśnie procesie zaprowadziłaby mnie szybko do więzienia. Główną przyczyną tej oczywistości był mój życiorys okupacyjny, rozpoczęty przynależnością już w 1939 roku do PLAN a zakończony znalezieniem się jako d-cy zgrupowania na Ochocie w powstańczym szpitalu. Życiorys ten przez cały czas mej służby wojskowej stwarzał wokół mnie stan zagrożenia i wydaje się zupełnie pewne, że nieoczekiwane wyznaczenie mnie do tego procesu stanowiło pułapkę.

W programie telewizyjnym w dniu 7 lipca uczyniono wszystko, aby mnie zohydzić w oczach społeczeństwa. Między innymi A. Pilecki zarzucił mi jako bym w rozmowie z matką jego użył brutalnego sformułowania o wrzodzie, który trzeba wyciąć. W związku z tym zarzutem pragnę stwierdzić, że nigdy nie rozmawiałem z p. Pilecką i wobec tego to, co w dniu 7 lipca powiedział jej syn jest kłamstwem. Świadomym aktem pomsty, czy rezultatem błędu?

Zwracanie się przed rozprawą rewizyjną w Sądzie Najwyższym do prokuratora, który już odegrał swoją rolę w sądzie I instancji byłoby w ogóle pozbawione sensu i nikt w miarę zorientowany, w każdym zaś razie obrońca jej męża, nie mógł tego p.Pileckiej doradzać.

Z kolei, jeśli ujawniła ona w biurze przepustek, a ^w związku z istniejącymi tam rygorami uczynić to musiała, cel swojego przybycia, to nie było innej możliwości, jak tylko skierowanie petentki do prokuratora ^(NPW), jedynie upoważnionego do przyjmowania interesantów. Ja służyłam w NPW w ogóle nie pełniłam.

Jest teoretycznie możliwe, choć życiowo zupełnie nieprawdopodobne, że mimo skierowania jej do określonego pokoju i do figurującego na przepustce oficera p.Pilecka krążąc długo po piętach i korytarzach budynku przy ul. Krzywickiego gdzieś przypadkowo mnie spotkała. Mogę zapewnić i tych, którzy mnie wówczas bliżej nie znali, że jedyną moją reakcją byłoby przyznanie się do absolutnej niemożności wpłynięcia na bieg sprawy i ewentualne skierowanie do naczelnego prokuratora.

Ugodzony okrutnym w swej wymowie kłamstwem jałem szukać jakiejś pomocy. Zatelefonowałem między innymi do jednego z dziennikarzy, którzy także interesując się procesem przeciwko W.Pileckiemu kiedyś lojalnie ze mną na ten temat rozmawiali. Przedziwnym zbiegiem okoliczności stało się tak, że rozmówca mój niedawno uczestniczył w nagraniu z p.Pilecką, w trakcie którego konkretnie, wielokrotnie i wręcz sugerująco pytano ją, czy interweniując wówczas w sprawie męża właśnie ze mną miała do czynienia. Odpowiedź brzmiała niezmiennie, że była w jakimś pokoju, u jakiegoś prokuratora, ale nie wie czy był to mjr Łapiński.

A.Pilecki występując przed kamerami TV w licznie oglądanym programie i powołując się właśnie na matczyną relację nie miał jakichkolwiek wątpliwości co do mojej osoby.

Nie jest wreszcie bez znaczenia fakt, że w kilka minut po zakończeniu "Rewizji nadzwyczajnej" zatelefonował jakiś mężczyzna, sądzić można, inteligent, i upewniwszy się, czy ja podjąłem słuchawkę zapytał: "No i co? Jest pan teraz zadowolony?". Nie ulega wątpliwości, że był to ktoś zorientowany co do moich, mimo wszystko nie pozbawionych szans, starań o zrelatywizowane traktowanie. Po wtóre może to być człowiek, który, działając nawet z ukrycia odegrał w tej bezlitosnej nagonce na mnie inspiratorską rolę.

Fakt, że przed czterdziestu dwu laty musiałem wystąpić w tym tragicznym procesie stanowi dla mnie brzemię nadto ciężkie, aby dzisiaj ktoś potęgował je poprzez świadome, nieuczciwe i ślepe mściwością prueniknięte działania.



§ 36.

Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie po rozpoznaniu z urzędu sprawy wpisu adw.Czesława Łapińskiego na listę adwokatów Izby Adwokackiej w Warszawie - na zasadzie art.145 § 1 pkt.5 i art.149 § 1 kpa w zw. z art.44 i 47 p.o a. i § 1 ust.4 regulaminu działania organów adwokatury i organów izb adwokackich

p o s t a n a w i a:

- 1/ wznowić postępowanie w sprawie wpisu mgr Czesława Łapińskiego na listę adwokatów,
- 2/ odpis nin.uchwały doręczyć adw.Cz.Łapińskiemu.

Uzasadnienie

Mgr Czesław Łapiński uchwałą Rady Adwokackiej w Warszawie z dnia 9.07.1953 r. wpisany został na listę adwokatów Izby Adwokackiej w Warszawie z siedzibą w Warszawie.

Rada Adwokacka w Warszawie podejmując uchwałę o wpisie dysponowała informacjami udzielonymi przez mgr Cz.Łapińskiego dotyczącymi jego wykształcenia oraz przebiegu pracy zawodowej w wojskowym wymiarze sprawiedliwości po wyzwoleniu.

W szczególności zainteresowany podał w życiorysie, że po wyzwoleniu kraju przeniósł się do Łodzi, gdzie w lutym 1945 r. zgłosił się ochotniczo do wojska rozpoczynając pracę w Wojskowej Prokuraturze Garnizonowej a następnie Okręgowej w Łodzi.

Mgr Cz.Łapiński w chwili wybuchu II wojny światowej był podporucznikiem rezerwy. W grudniu 1945 r. awansowany został do stopnia majora a w dniu 22.07.1948 r. do stopnia podpułkownika. Służbę wojskową pełnił do dnia 27.02.1950 r.

Po rozpoczęciu służby w Prokuraturze Garnizonowej był kolejno aplikantem, oficerem śledczym i podprokuratorem.

W marcu 1946 r. mianowany został szefem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Łodzi. W kwietniu 1947 r. przeniesiono go do Departamentu Służby Sprawiedliwości MON w Warszawie, gdzie jako wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej i kierownik sekcji ulaskawień i konsultacji w sprawach karnych pełnił służbę do dnia 27.02.1950 r.

W dniu 12.02.1948 r. uzyskał stopień magistra prawa.

Z informacji wskazanych w życiorysie nie wynikało, aby mgr Cz.Łapiński uczestniczył czynnie w procesach karnych po przeniesieniu w kwietniu 1947 r. do Departamentu Służby Sprawiedliwości Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie powzięła wiadomość z transmitowanej w lipcu 1990 r. audycji z cyklu "Rewizja nadzwyczajna" dotyczącej procesu rtm.Witolda Pileckiego, sądownej przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie w dniach 2-15 marca 1948 r. w Warszawie o tym, że oskarżycielem w tym procesie był mgr Cz.Łapiński.

Według relacji żony rotmistrza Witolda Pileckiego przekazanej przez syna rtm.Pileckiego - p.Andrzeja Pileckiego, po zapadnięciu wyroku dotyczącego ojca, udała się ona do oskarżającego w tym procesie prokuratora Czesława Łapińskiego prosząc o interwencję w sprawie męża. Cz.Łapiński odmówił stwierdzając, że jakakolwiek tolerancja wobec rtm.Pileckiego nie jest możliwa, bowiem jest on "wrzodem na ciele narodu polskiego".

Przed Sądem Najwyższym jest rozpoznawana rewizja nadzwyczajna Ministra Sprawiedliwości z wnioskiem o uniewinnienie rotmistrza Witolda Pileckiego.

Postać rtm.Witolda Pileckiego ma wymiar historyczny nie tylko w skali historii narodu polskiego lecz również w historii II wojny światowej. Świadczy o tym fakt, że w Wielkiej Brytanii poświę-

cono mu kilka opracowań historycznych. Jest on, między innymi, jednym z bohaterów książki brytyjskiego historyka Michaela Foota "Six faces of courage" poświęconej sześciu najodważniejszym uczestnikom walki podziemnej toczonej w okupowanej przez Niemców Europie.

Rotmistrz Witold Pilecki będąc od sierpnia 1940 r. zastępcą szefa Oddziału I Sztabu Głównego Tajnej Armii Polskiej, której był współorganizatorem, zgłosił zamiar przedostania się do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w celu zbadania możliwości uwolnienia więźniów, zebrania danych dotyczących traktowania więźniów politycznych przez Niemców. W tym celu 19 września 1940 r. włączył się dobrowolnie do grupy osób zatrzymanych podczas łapanki na Żoliborzu i 21 września został wywieziony do Oświęcimia.

W Oświęcimiu był współorganizatorem tajnego Związku Organizacji Wojskowej a po podporządkowaniu się przez tę organizację ZWZ w obozie wszedł w skład sztabu tej organizacji.

W nocy z 25 na 26 kwietnia 1943 r. zbiegł z Oświęcimia wobec zagrożenia dekonspiracją. W sierpniu 1943 r. wrócił do Warszawy i został pracownikiem Oddziału II Informacyjnego Kedywu Komendy Głównej AK pod pseudonimem "Druh". Brał udział w Powstaniu Warszawskim a po jego kapitulacji przebywał w oflagach Lamsdorf i Murnau a od lipca 1945 r. służył w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych.

W 1945 r. wraca do kraju. Aresztowany 5 maja 1947 r. został oskarżony o pełnienie funkcji "szefa wywiadu Andersa na Polskę". Wraz z siedmioma osobami stanął przed sądem. Orzeczono trzy wyroki śmierci. Wykonano tylko jeden. Właśnie na rtm. Witoldzie Pileckim.

Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie podejmując decyzję o wznowieniu postępowania dotyczącego wpisu mgr Cz. Łapińskiego na listę adwokatów uznała, że należy szczegółowo wyjaśnić, czy mgr Cz. Łapiński będąc sam - jak to podał w swoim życiorysie - żołnierzem AK, mając w zasadzie ukończone studia prawnicze przed wojną, kierując wreszcie Sekcją Ułaskawień i Konsultacji w sprawach karnych zachował się w sposób opisany przez rodzinę rotmistrza Witolda Pileckiego.

Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że w razie potwierdzenia się tych okoliczności należy uznać, iż miałyby one zasadnicze znaczenie dla oceny możliwości wpisu na listę adwokatów w płaszczyźnie ówczesnie obowiązujących przepisów tj. art. 43 ustawy z dn. 27.06.1950 r. o ustroju adwokatury /Dz.U. nr 30 poz. 275 z 1950 r./ a w szczególności pkt. 3 powołanego art. 43 ust. 1 stwierdzającego, że na listę adwokatów może być wpisany ten, kto "jest nieskazitelnego charakteru".

Wydaje się, że pomocne dla zrozumienia kwestii, którą będzie musiała rozstrzygnąć Okręgowa Rada Adwokacka oceniając sprawę, uwzględniając ewentualne wyjaśnienia, które zapewne zechce złożyć adw. Cz. Łapiński, będzie to, o czym mówił prof. Tadeusz Kotarbiński /Patrz: Tadeusz Kotarbiński "Drogi dociekań własnych" PWN 1986 str. 387/:

"Inaczej natomiast zachowa się człowiek godny szacunku, ilekroć wchodzi w grę konflikt nakazu z uczciwością. Zwierzchność organizacyjna żąda, byś uczestniczył w jawnej niesprawiedliwości. Musisz odmówić i basta. I żadne cudze sumienie nie może zastąpić Twego własnego sumienia. A poszczególnym przypadkiem nieuczciwości jest głoszenie fałszu, gdy uczciwość wymaga głoszenia prawdy. Możesz się mylić w jej rozeznaniu. Więc niezbędny się okazuje postulat krytycyzmu. Atoli w ostatecznym obrachunku musisz obstawać przy tym, co ci się narzuca jako prawda po jak najwnikliwszym zbadaniu wszystkich danych. Uznanie tego wymagalnika powinno obowiązywać wszelkie zrzeszenia socjalistyczne, ponieważ streszcza się w tym jeden z warunków etyki elementarnej a etyka socjalistyczna sta-

nowi nadbudowę etyki elementarnej; dodaje do niej własne warunki, które ją czynią surowszą ale nie może pozostawać z nią w sprzeczności".

Przywołanie rozważań prof. Kotarbińskiego, posługującego się pojęciem "etyki socjalistycznej", ma na celu wykazanie, że nawet wówczas, kiedy ~~na~~ pojęcie to powstało uznawano, że nie może ono pozostawać w sprzeczności z etyką elementarną.

Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie stoi na stanowisku, że istnieje konieczność wyjaśnienia, czy działania mgr Czesława Łapińskiego nie pozostawały w sprzeczności z etyką elementarną, co stanowiłoby naruszenie ustawowej przesłanki legitymowania się nieskazitelnym charakterem przez kandydata ubiegającego się o wpis na listę adwokatów.

Z tych względów postanowiono jak na wstępie.

Za zgodność:

adw. Czesław Łapiński

KIEROWNIK BIURA
beg
mgr *Bożena Łapińska*

w/m

OKRĘGOWA
RADA ADWOKACKA
w WARSZAWIE
Al. Ujazdowskie Nr 49

D80/1274/80

W-wa, dn. 4.10.90 r.
- do wiadomości -

WICZ
R.
[Signature]
adw. *W.*

Adw. Czesław Kapiński
ul. Marymoncka 79 m. 5
01-802 Warszawa

Warszawa, dn. 3 listopada 1990 r.

Okręgowa Rada Adwokacka
w Warszawie

W związku z postanowieniem Okręgowej Rady z 6 września w sprawie mojego wpisu na listę adwokatów przed trzydziestu siedmiu laty wyjaśniam uprzejmie, co następuje.

Z uzasadnienia decyzji Rady wydają się wynikać dwa zarzuty przeciwko mnie. Pięrcwszy, że w swoim życiorysie nie podałem, abym uczestniczył czynnie w procesach karnych po roku 1947, drugi zaś dotyczy wrogiego odniesienia się do prośby interweniującej u mnie p. Marii Pileckiej.

W obydwu wypadkach brak jest podstaw merytorycznych wznowienia postępowania. Wprawdzie życiorysów mojego pokolenia, sporządzanych przed rokiem 1956, a niekiedy nawet późniejszych, nie powinno się uważać za zbyt pewne źródło informacji, ale w danym wypadku zgodnie z prawdą ujawniłem pełnienie służby w prokuraturze wojskowej, to zaś automatycznie przesądziło prawdopodobieństwo wykonywania przeze mnie wszelkich czynności w zakresie tej służby wchodzących.

Maria Pilecka nigdy ze mną bezpośrednio nie rozmawiała a wobec tego nie ode mnie usłyszała przypisywane mi przez jej syna słowa. Drażliwą tę sprawę będę próbował wyjaśnić.

Na drodze do kwestionowania zasadności mojego wpisu istnieje ponadto inna, nie dająca się pokonać ani obejść przeszkoda. Na tle powołanego w postanowieniu Rady art. 145 § 1 pkt. 5 KPA zarówno zatajenie, gdyby tak rzeczywiście było, uczestniczenia w procesach karnych, jak również dyskwalifikujące mnie, już wówczas, brutalne odniesienie się do petentki - mogłyby być ewentualnie zaliczone do kategorii istotnych nowych okoliczności, nie znanych przy wpisie w roku 1953, jednakże zgodnie z art. 146 § 1 tegoż KPA wznowienie postępowania z tego powodu a potem wzruszenie ostatecznej decyzji musiałyby nastąpić przed upływem pięciu lat od jej wydania.

Kwestionując istnienie obecnie jakichkolwiek podstaw do uznania mojego wpisu za wadliwy pragnę jednak wykorzystać powstałą a od dawna przede mną poszukiwaną sposobność do wypowiedzenia się przed kompetentnym gremium na temat mojej służby wojskowej i udziału w procesie śp. rtm. Witolda Pileckiego.

Wielką wagę przywiązuję do tego wypowiedzenia się, bo chyba już niewiele czasu pozostało mi na jego ponawianie, i dlatego musi ono być bardzo obszerne. Jedynie wielość faktów i rzeczowych informacji, skoro panuje metoda czarno-białego widzenia tamtych złożonych czasów i powikłanych losów ludzkich - stwarza mi nadzieję na zrelatywizowane oceny.

Powszechny osąd stalinowskiego wymiaru sprawiedliwości jest jednolicie negatywny i każdy, kto w nim uczestniczył, musi się liczyć z konsekwencjami. Jestem na to przygotowany, dotkliwe ciosy odbieram od dziesięciu lat, upominam się tylko o to, abym odpowiadał w granicach osobistego zawinienia a nie za system, o którego naturze przecież tak wiele już wiemy.

W okresie mojej służby wojskowej istniały dwa istotnie różniące się nurty represyjne. Jeden, to planowa eksterminacja określonych grup społecznych, między innymi przedwojennych oficerów, poprzez montowanie procesów

opartych na zbrodniczym kłamstwie i przymusie. Akcja ta nabrała na sile pod koniec lat czterdziestych z wiadomości o jej rozmiarach i okrucieństwie nawet dla wielu spośród nas, prawników, wojskowych były niepełne i często opóźnione.

Drugi nurt, do którego właśnie należy sprawa rtm. Pileckiego, polegał na zgodnym wprowadzeniu z obowiązującym porządkiem prawnym, lecz nacechowany szczególną surowością karaniu rzeczywistej działalności przeciwko reżimowi.

Oficerowie służby sprawiedliwości brali lub musieli brać udział w obydwu tych nurtach, ale nigdy nie było nam obojętne, zwłaszcza zaś dzisiaj do którego z nich jesteśmy przypisani.

W sprawach sfingowanych zapotrzebowanie MBP i GZIN na prokuratorów uległych było w pełni zaspokojone. Oni to dawali sankcje na areszt bez podstaw, nie reagowali na skargi więźniów ani ich rodzin, przebywając w aresztach nie dostrzegali tego, co widzieć mogli i powinni.

Grupa dyspozycyjnych prokuratorów, skupionych głównie w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej nie była liczna, zaledwie kilka nazwisk wymienia raport komisji Szerera, ale całe odium przez tę grupę wywołane przeniosło się na wszystkich dawnych oficerów służby sprawiedliwości. Na mnie, ponieważ popełniam tę nieostrożność, że nadal jeszcze żyję, skrupia się często słuszne co do zasady, ale nie różnicujące, wierne stalinowskiej zasadzie zbiorowej odpowiedzialności potępienie. Pragnący błysnąć swoją inwencją dziennikarze, także telewizyjni, mają mnie pod ręką, zwłaszcza gdy nie czują się zniewoleni zawodową przecież powinnością wcześniejszego wysłuchania kogoś zanim postawi go się pod ścianę.

Skoro jestem i mogę być - postuluje się powołanie trybunału - rozliczany z tego, co robiłem w latach czterdziestych, to zakres mojej odpowiedzialności zależy od stwierdzenia, czy brałem świadomie udział w procesach sfingowanych. To jedynie słuszne kryterium dwukrotnie powołał min. Bentkowski w "Interpelacjach" z 18-go bieżącego miesiąca.

Podkreśliłem warunek świadomości, bo wiadomo, że nie tylko stalinowskie, lecz wszelkie służby policyjne wykazują jak gdyby naturalną skłonność do ukrywania swych sekretnych działań i wprowadzania władz karno-sądowych w błąd. Wręcz niewiarogodną wydaje się wiadomość, jaką z absolutnie pewnego źródła uzyskałem w ubiegłym roku, mianowicie, że w informacji wojskowej działał własny sąd, który będąc ~~de facto~~ instrumentem panującej doraźnie kamaryli skazywał na śmierć wojskowych i pracowników cywilnych.

Upominając się o przyjęcie ogranicznika mojej odpowiedzialności nie twierdzę, że poniżej tego pułapu nie mam nic do wyjaśnienia ani usprawiedliwienia, zwłaszcza że los związał mnie z tak głośną i dramatyczną sprawą.

W wojsku znalazłem się, niezależnie od zastarzałego sentymentu do munduru, wskutek splotu okoliczności wojennych. Kampanię wrześniową odbyłem w SGO "Narew", w odróżnieniu od wielu moich rówieśników, którym pozostała jedynie gorycz tułaczki i bezsilności zaznałem nieco wojny. Od połowy września pełniłem obowiązki d-cy baterii, uprawiało się uzupełniać braki ludzkie, w koniach i sprzęcie, dzięki czemu bateria zachowała do ostatniej chwili pełną sprawność bojową. 27-go września zniszczyłem sprzęt, zatopiłem amunicję a konie rozdałem okolicznym chłopom, poczem wraz z kilkunastoma pozostałymi przy mnie podoficerami i kanonierami przyłączyłem się do walczącej w pobliżu, sformowanej z rozbitków grupy płk. Kurka. Po rozbiciu na unikając prowadzonych przez obydwu okupantów polowań na oficerów powróciłem do Warszawy.

W październiku 1939 roku zostałem zaprzysiężony w Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej /PLAN/ rozpoczynając, jak tysiące innych, swój udział w ruchu oporu poprzez późniejszą przynależność do ZWZ i AK na stanowisku d-cy zgrupowania /nieco więcej niż kompania/ i w wywiadzie, wymuszoną aresztowaniem dwóch podwładnych ucieczkę w Zamojskie, pobyt w oddziale partyzanckim i wreszcie udział po powrocie w Powstaniu, szybko zakończony odniesieniem rany.

Kiedy więc w lutym 1945 roku znalazłem się wraz z rodziną w Łodzi,

a dywizje szły na Zachód, uznałem, że moje miejsce jest tylko w wojsku. Nie miało ono dla mnie jakiegokolwiek zabarwienia, było jednak polskie a, co najwazniejsze, dla spragnionego rewanzu po dwóch klęskach stanowiło wreszcie realną siłę zbrojną.

Zgłosiłem się ochotniczo jako artylerzysta w przekonaniu, że zostanę przeszkolony na nowym sprzęcie, tymczasem poszukiwano wtedy prawników i to właśnie fatalnie przesądziło mój los na najbliższe pięć lat.

Na marginesie muszę dodać, że to moje zgłoszenie się do WKR było ochotnicze jedynie w intencji, bo w rzeczywistości na mnie, jako oficerze ciążył taki obowiązek, opatrzony sankcją karną.

Niespodziewany przydział wprowadził nie spełnił moich oczekiwań ale ostatecznie wraz z moim teściem, sędzią starej daty i rejentem, nie uznaliśmy go za zagrożenie, przed którym trzeba się koniecznie ratować. Przed wojną oficerowie korpusu sądowego /audytorzy/ należeli do wojskowej elity i cieszyli się powszechnym szacunkiem.

Katychmistowe podjęcie służby wojskowej oznaczało też dla nas, autentycznych warszawskich rozbitków sposób na życie a przede wszystkim uzyskanie mieszkania.

Przez cały rok 1945 pracowałem wyłącznie w pionie wojskowym i to blisko moich zainteresowań liniowych, bo od połowy roku sprawowałem tzw. nadzór prokuratorski, w ramach którego wizytowałem jednostki wojskowe, przyczyniając niekiedy kłopotów kwatermistrzom, z reguły oficerom radzieckim.

Wcielony w randze porucznika, awansowałem do końca roku o dwa stopnie, co w owym czasie bynajmniej nie należało do rzadkości. Podpułkownikiem zostałem po trzech latach, a więc w normalnym trybie i dzięki staraniom mojego bezpośredniego przełożonego a zarazem przyjaciela, o którym jeszcze powiem.

Mianowany na początku 1946 roku szefem Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Łodzi miałem służbowo do czynienia ze słynnym ppk. Moczarem, o którym teraz wiemy wiele i nie najlepiej. Wtedy już zajmował taką pozycję, że na przykład w razie poważnego konfliktu mógłby mnie, przypadkowego na tej scenie człowieka, bezpartyjnego i zakonspirowanego AK-owca - zmieść z powierzchni ziemi. O ile jednak pamiętam, to jako szef WUBP właściwie reagował, gdy interweniowałem dowiedziawszy się o nadużyciach popełnianych przez, zwłaszcza w terenie, przez jego ludzi. W tych, zresztą niezbyt licznych wypadkach mógł to robić również na pokaz.

Udało mi się dotrzeć w kilku więzieniach do bezprawnie przetrzymywanych ludzi. W jednym, było to chyba w Sieradzu, znalazłem dwudziestu czterech przedstawicieli inteligencji, osadzonych jeszcze przez NKWD.

Mimo wszystko służba na tym stanowisku ciążyła mi od pierwszej chwili atmosfera polityczna zaczęła gęstnieć, toteż po roku z zadowoleniem przyjąłem decyzję o przeniesieniu mnie do Warszawy, gdzie uznano, że się w terenie nie sprawdzą.

Zajmując etat wiceprokuratora NPW zacząłem pełnić służbę w Departamencie służby sprawiedliwości MOK, w wydziale kierowanym przez ppk. Halskiego, później także adwokata a w ogóle jednego z najprzystojniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Przez kilka tygodni żyłem nadzieją, że przejdę do pracy dziennikarskiej ale szef Departamentu wycofał się z obietnicy. Nie było innej bezpiecznej możliwości wyjścia z wojska jak tylko na podstawie komisyjnego orzeczenia lekarskiego.

W roku 1948 ku całkowitemu zaskoczeniu mojemu i ppk. Halskiego zostałem delegowany do NPW w celu objęcia oskarżenia w zbiorowej sprawie szpiegowskiej. Jako powód podano nagłą chorobę właściwego prokuratora i brak zastępcy na miejscu. Później zorientowaliśmy się, że była to pułapka zastawiona na mnie.

Studiując materiały nie znalazłem w nich niczego, co by mogło wskazywać na sztuczność tej sprawy. Wyjaśnienia i zeznania pokrywały się całko-

wicie, było archiwum oraz duże ilości broni i amunicji, ukrytej w trzech specjalnie sporządzonych schowkach.

Ujrzałem całą beznadziejność sytuacji procesowej grona patriotów, którzy w pojaltańskiej rzeczywistości podjęli, nie sobą naszej historii, nierówną i całkowicie pozbawioną szans walkę.

Wynikająca z akt moja wiedza o osiągnięciach rtm. Pileckiego w czasie okupacji nie była równa tej, jaką obecnie posiadamy, ale prawdziwym szokiem stało się dla mnie przeświadczenie, że muszę oskarżać bohatera a ponadto, że mógł uratować się przed aresztowaniem, gdyby zgodnie z przywiezionym mu przez łączniczkę rozkazem wrócił do Londynu, bo tam uznano go za zdekonspirowanego.

Przed kilkoma dniami uzyskałem wiadomość o szczególnie dramatyzującym tę sprawę fakcie historycznym, mianowicie, że rtm. Pilecki chciał zaniechać swej działalności, lecz podjął ją ponownie pod presją polskich ośrodków emigracyjnych. Wyciąg z prośby W. Pileckiego o ułaskawienie załączam.

Żądania oskarżycielskie wraz z ich politycznym uzasadnieniem otrzymałem na piśmie w obecności naczelnego prokuratora od jego zastępcy, słynnego już wkrótce ppłk. Podlaskiego. Mnie pozostał do opracowania stan faktyczny.

Wykorzystując swoje przypadkowe znalezienie się w tej sprawie podjąłem próbę wpłynięcia na złagodzenie żądania najwyższego wymiaru kary wobec rtm. Pileckiego z uwagi na jego zasługi w walce z hitleryzmem, oraz w stosunku do Marii Szelańskiej z racji jej płci i mniejszego zaangażowania. Prawdopodobnie ta została pokwitowana uwagą, że przed nami dwie instancje a pozatem, że żadna kara śmierci nie zostanie wykonana. Niechaj nie świadczy to o mojej naiwności, że odpowiedź tę uznałem za dość wiarogodną. Praktyka prokuratorska istotnie zna żądania demonstracyjne, jako zabieg odstraszący, z kolei zaś wiedziałem, że w tamtym okresie Bierut nierzadko stosował łaskę.

W wyniku rewizji nadzwyczajnej nie została zakwestionowana faktyczna działalność wywiadowcza oskarżonych, pozbawiono ją tylko cech działania na rzecz obcego wywiadu. Zgromadzoną broń uznano za przypadek mniejszej wagi.

Oznacza to, że nie występowałem w sfingowanej sprawie, ale w opinii myślących w sposób uproszczony i powodowanych niecierpliwością będę uważany za prokuratora, który oskarżał ludzi niewinnych nawet w ówczesnym rozumieniu.

Odpowiedzi wymaga dręczące mnie od czterdziestu dwóch lat pytanie, mianowicie, czy mogłem nie wykonać otrzymanego polecenia służbowego. Odpowiadam jednak, że byłem wówczas pozbawiony jakichkolwiek możliwości manewru a próba wycofania się z procesu zaprowadziłaby mnie szybko do więzienia zaciążyła na losie mojej rodziny.

Działalność oskarżonych w tej sprawie, niekwestionowana przez nich i oparta na dowodach uruchomiła automatyzm represyjny z jego małym prawdomoibięństwem odchyleniem od narzucanego sądom schematu, co z jednej strony oznaczało tylko przekąźnikową, bardzo ograniczoną rolę prokuratora, z drugiej zaś moje wyłączenie się z procesu w niczym nie byłoby oskarżonym pomocne.

Dla ludzi znajdujących się w mojej sytuacji bardzo przydatne jest, gdy brak innych argumentów, tłumaczenie się działaniem pod przymusem. Ja jednak z takiej obrony nie rezygnuję, przy tym zaś liczę na zrozumienie. Z równo ze strony tych, którzy stalinowskie metody sprawowania władzy znają z autopsji, jak również ze strony osób korzystających z wiarogodnego przekazu.

Przez cały czas służby w LWP czułem się autentycznie zagrożony. Do roku 1947 z powodu nieujawnienia działalności okupacyjnej, potem dlatego, że to zrobiłem. Zagrożenia tego, ściśle wkomponowanego w ówczesną ludowo-wojskową rzeczywistość nie muszę chyba udawadniać, konieczny byłby tylko dowód przeciwny. Mogę uzupełniająco dodać, że po latach dowiedziałem się, komu zawdzięczam, że mimo naciskom, jakie na nią wywierano w więzieniu nie włączył mnie do sprawy gen. Tatara. W ubiegłym roku oficer piszący pracę doktorską na temat stosunków pomiędzy prokuratorem a informacją wojskową udostępnił mi dokumenty, z których wynikało, że GZIW przygotowywał jakąś encję przeciwko kilkunastu AK-owcom, wśród nich i mnie, z wyjątkiem z wojska w roku 1950.

W uzasadnieniu postanowienia Okręgowej Rady znajduje się oparty na

filozofii Kotarbińskiego wzorzec etyczny i wynikająca z niego dyrektywa postępowania dla mnie. Choć wzorzec ten w pełni popieram, przyznaję, że się do niego nie zastosowałem. Rozglądając się dookoła nie widzę też w naszym środowisku zbyt wielu chętnych do zapłacenia narzucanej mi a tak wielkiej ceny za demonstrację, która najmniejszego pożytku nikomu by nie przyniosła. Myślę, że abstrakcyjne rozważania filozofa o etyce elementarnej bądź socjalistycznej są z innego scenariusza, albowiem nie dotyczą działania pod wpływem terroru ani sytuacji ekstremalnych.

Okręgowa Rada wprawdzie nie przytacza tego przykładu, ale ja w ramach własnego wewnętrznego rozrachunku przyrównuję się do tych sędziów, prokuratorów, których stać było na odmowę działania w okresie stanu wojennego. Choć to przykład znacznie już bliższy realnemu życiu, to także jednak nieadekwatny. Tym odważnym groziło tylko przeniesienie na inne stanowisko, w najgorszym zaś razie zwolnienie z pracy, co dla mnie byłoby właśnie dobrodziejstwem.

Z uzasadnienia decyzji Rady może też wynikać zarzut przeciwko mnie dotyczący więzi kombatanckiej z ludźmi, których oskarżałem. Zarzut ten sprowadza się jednak tylko do symboliki.

Armia Krajowa została rozwiązana w styczniu 1945 roku i każdy z nas musiał znaleźć własne miejsce w nowej rzeczywistości. Niektórzy ulegli komunistycznej utopii bądź pragnieniu zrobienia kariery, jak wielu obecnych prominentów, twórcy, adwokaci, i jawnie poparli reżim wstępując do PPR. Większość zachowując różny stopień dezaprobaty wobec ustroju, musiała pracować i żyć.

Niektórzy uczestnicy antyhitlerowskiego ruchu oporu przystąpili do walki z komunistycznym reżimem. Niekiedy zbrojnej, częściej poprzez budowanie struktur organizacyjnych i działalność wywiadowczą. Rzecz oczywiście decyzję o czynnej walce i narażeniu się na najwyższe ryzyko podjęli samodzielnie i nie szukając szerokiej aprobaty. Z tego założenia wychodząc nie widzę szczególnych zobowiązań z tytułu mojego kombatanctwa. Pozostało natomiast lub nie polskie myślenie, które nakazywało nie szkodzić z własnej inicjatywy narażonym na niebezpieczeństwo patriotom a także przyjść im z wszelką możliwą pomocą.

Wielu spośród AK-owców będących w wojsku pomagano ^{niec/}innym, ponosząc zawsze jakieś ryzyko, bo obdzielony naszą życzliwością mógł niepotrzebnie o tym opowiadać bądź uczynić to pod przymusem.

Zanim ustosunkuję się do programu telewizyjnego, który wywołał inicjatywę Rady w mojej sprawie, pragnę poinformować, że już wcześniej stałem się przedmiotem publicznego ataku. Jest to fakt o tyle istotny, że ujawniłam świadome posługiwanie się kłamstwem, choć ze złości jako wyłączny motyw działania i rozchwianie etyczne człowieka, który osmiela się dyskredytować innych.

W "Życiu Warszawy" /Nr 59 z 28-29.IV.1990 r./ pojawił się wywiad przeprowadzony przez dziennikarkę z jednym ze skazanych w procesie rtm. Pileckiego - Tadeuszem Płużańskim, który między innymi stwierdził, że przewodniczący kompletu sądownego - ppłk. Hryckowian a także pozostali dwaj sędziowie na pewno byli pracownikami MBP, co się zaś tyczy mjr. Żapińskiego to można przypuszczać, że "i on był". Nie oszczędził też prof. Płużański broniąc go wówczas adw. Pintarowej informując czytelników "Życia", że pliczyła sobie ogromne honorarium i przyznała się do współpracy z bezpieczeństwem.

Niewiele mogę powiedzieć o Hryckowianie. Nieco bliżej miałem z nim do czynienia w okresie adwokackim, kiedy był kierownikiem zespołu. Cieszy się sympatią i szacunkiem; dowiedziałem się, że także był żołnierzem AK. Jedno jest jednak pewne, że owa dwusetatowość Hryckowiana i sędziów, to całkowity absurd. Z kolei obiektywnie bezsensowne jest założenie, że współpracująca z bezpieczeństwem obrończyni Płużańskiego dekonspiruje się przed przebywającym w więzieniu klientem.

Przypisanie wszystkim tym osobom ubiackiej proweniencji jest aktem czyjej zemsty, bo w tej sprawie, opartej na dobrowolnym przyznaniu się i innych dowodach, do niczego nie było to Płużańskiemu potrzebne.

We mnie wymierzony został pocisk o szczególnej sile rażenia, bo ch

sam zarzut niestawnowczy, pochodzi on od kogoś, kto stał się rzeczywistą ofiarą stalinizmu /odcierpił 8 lat więzienia/, jest profesorem wyższej uczelni i działaczem Związku b. Więźniów Okresu Stalinizmu - a więc człowiekiem, którego się raczej nie posadza o złą wolę ani pochopne kłamstwo.

Licząc się właśnie z pokrzywdzeniem T. Płużańskiego i to przy moim faktycznym udziale zrezygnowałem z oficjalnego upominania się o satysfakcję i po prostu wysłałem do niego list. Kserokopię załączam. Odpowiedź nie nadeszła i od pewnego już czasu wiem na pewno, że jej nie będzie, albowiem przeceniłem adresata.

Artykuł "Życia Warszawy" sprawił, że zgłosiło się do mnie kilkoro dziennikarzy. Nagrano ze mną rozmowę dla Polskiego Radia i wziąłem udział w filmie dokumentalnym. Zarazem zyskałem dużą wiedzę o osobowości mojego oskarżyciela. Załączam użyczony mi wypis z akt sprawy dotyczący T. Płużańskiego. Zawarte w jego prośbie o ulaskawienie zobowiązania i deklaracja wierności, jak się okazało, nie są bynajmniej uchylonym manewrem taktycznym więźnia w staraniach o zwolnienie warunkowe. Oto powiedziano mi, że istotnie wybaczył on swoim prześladowcom i podjął dzieło budowy socjalizmu. Mimo ciężkiego na nim skazania za szpiegostwo zdołał dostać się na studia wyższe, które następnie bez przeszkód ukończył. Zyskał zaufanie partii, skoro nieporna jego win przyjęła w swoje szeregi. Rozpoczął i osiągnął karierę naukową filozofa. Wykładał też na uczelni partyjnej. Gdy okręt począł tonąć, pozbył się legitymacji i w wyniku kolejnego przeobrażenia udziela się teraz szeroko w prasie i TV, gromiąc pozostałości stalinizmu a także walcząc o moralną odnowę narodu.

Program telewizyjny "Rewizja nadzwyczajna" z 7-go lipca był, można to przyjąć za pewnik, wyraźnie nastawiony na zniszczenie mnie, inspirowany w tym kierunku. Nazwisko moje wymieniane było kilkakrotnie, rola wyolbrzymiona i poprzez konteksty rozciągnięta również na to, co działo się po wyroku.

Wymownym dla mnie przykładem manipulowania wypowiedziami jest to, że jak mnie poinformowano, uczestnik audycji, Makary Sieradzki, który tak bardzo wyeksponował moją wszechmoc w procesie, na pewien czas przedtem, występując w filmie dokumentalnym i nie ulegając jakimkolwiek sugestiom, stwierdził zgodnie z prawdą, że w jego procesie "prokurator niewiele miał zrobienia".

M. Sieradzkiemu muszę jednak wybaczyć ten brak konsekwencji, bo z kolei na rozprawie rewizyjnej powiedział podobno, że już jako adwokat uratowałem mu życie, bo dzięki moim energicznym staraniom wyszedł na wolność wcześniej niż inni a był bardzo chory.

Pod koniec "Rewizji" A. Pilecki postawił mi zarzut najcięższy, jaki mogłem sobie wyobrazić, mianowicie zachowanie się wyzutego z ludzkich uczuć stalinowca wobec jego matki.

Nie mam podstaw do posadzania A. Pileckiego, że podobnie jak wspomniany prof. Płużański świadomie posłużył się nieprawdą. Jego przekonanie może wynikać z wadliwego odbioru tego, co przed czterdziestu dwu laty usłyszał od matki, bądź z błędnej informacji przekazanej synowi przez zrozpaczoną, przerażoną i zdruzgotaną wyrokiem p. Marię Pilecką.

Bardzo prawdopodobne wydaje się to, że w świadomości Pp. Pileckich nastąpiło przeniesienie na czas po wyroku i w inne miejsce fragmentu mojego przemówienia. Odczytując przed sądem polityczne uzasadnienie żądań, wręczonych mi przez zastępcę naczelnego prokuratora, na pewno użyłem jakichś agresywnych sformułowań w ówczesnym języku liturgicznym w rodzaju "wrogowie Polski Ludowej i narodu", "agenci imperialistyczni" itp. W tym samym języku mnie przypominano w licznych afiszach, że jestem "zapłutym karłem reakcji".

P. Pilecka nigdy, jak to na wstępie stwierdziłem, ~~negaty~~ ze mną nie rozmawiała i istnieje szereg argumentów przeciw takiemu przypuszczeniu.

Zwracanie się przed Sądem Najwyższym do prokuratora, który już odegrał swoją rolę w sądzie I instancji byłoby w ogóle pozbawione sensu. Wprawdzie członkowie rodzin pragnący ratować swoich bliskich mają się wszelkimi sposobami, ale jest mało prawdopodobne, aby p. Pilecka z punktu widzenia skuteczności swoich starań nie radziła się kogoś

lepiej zorientowanego, zwłaszcza zaś obrońcy męża.

Gdyby p. Pilecka ujawniła w biurze przepustek cel przybycia związany z toczącą się sprawą karną, a uczynić to musiała w związku z panującymi tam rygorami i szczególną dociekliwością dyżurnych, to nie było innej możliwości jak tylko skierowanie jej do określonego pokoju i prokuratora NPW, specjalnie wyznaczanego do przyjmowania interesantów. Powtarzam w ten sposób to, co mi przekazał jeden z byłych oficerów NPW.

A. Pilecki powiedział o trudnościach, jakie musiała pokonać matka zanim do mnie dotarła. Jeśli istotnie otrzymał on taką informację, a więc owe trudności nie są, jako bardzo prawdopodobne, wytworem wyobraźni ani sposobem na udratyzowanie postawionego mi zarzutu, to niezależnie od biura przepustek mogła też wchodzić w grę niechętna postawa urzędującego w danym dniu prokuratora.

Teoretycznie jest możliwe, choć życiowo nieprawdopodobne, że p. Pilecka mimo stosownego skierowania jej, krążąc długo po piętrach i korytarzach budynku przy ul. Krzywickiegó, mieszczącego wiele instytucji MON, przypadkowo gdzieś na mnie natrafiła. Wówczas jednak, twierdząc stanowczo, ode mnie nie mogłaby usłyszeć nic innego jak tylko przyznanie się do całkowitej bezsilności i radę, aby spróbowała dostać się do naczelnego prokuratora, płk. Zarakowskiego. Jeszcze przed kilku laty mógłbym powołać się na osoby, które by zapewne wykluczyły możliwość takiego w bezpośredniej rozmowie i prowadzonej bez świadków zachowania się mojego, jak je określił A. Pilecki, no, ale byłby to znowu dowód oparty jedynie na przekonaniu.

W kilka minut po zakończeniu "Rewizji" odebrałem telefon. Mężczyzna, po głosie sądząc, inteligent zapytał mnie: "No i co? Jest pan teraz zadowolony?" Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że człowiek ten wiedział o moim proteście przeciwko pomówieniu mnie w "Życiu Warszawy" i że niechybnie on to właśnie - działając z ukrycia - postarał się, aby poprzedni cios zza węgła okazał się zaledwie błahostką w porównaniu z tym, co mi zgotowano na 7go lipca.

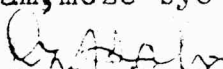
Ugodzony okrutną w swej wymowie nieprawdą i w związku z tak wiele mówiącym telefonem, jałem szukać pomocy. Prozumałem się między innymi z jednym z dziennikarzy, którzy także przygotowują program o procesie rtm. Pileckiego i w związku z tym kiedyś ze mną rozmawiali. Dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności stało się tak, że dziennikarz ten brał udział w nagraniu z M. Pilecką, którą wtedy wielokrotnie i wręcz sugerująco pytano, czy po wyroku rozmawiała właśnie ze mną. Odpowiedzi brzmiały niezmiennie, że była w jakimś pokoju, u jakiegoś prokuratora ale nie wie, czy był to mjr Łapiński. Ta oczywista niepełność p. Pileckiej sprawiła w praktyce rzetelnych dziennikarzy, że w ich programie nie będzie tego, co powiedział A. Pilecki. Mimo, że zuboży to audycję i złagodzi rewanz.

Autorowi "Rewizji nadzwyczajnej" zostało przekazane moje oświadczenie na temat procesu, mojej roli i nie poprzedzonego rozmową ze mną potraktowania mnie w audycji. Należy pamiętać, że dewizą tego cyklu telewizyjnego jest dochodzenie prawdy historycznej, co oczywiście zakazuje opierania się wyłącznie na materiale jednostronnym. Bardzo szybko zostałem poinformowany, że "z szacunkiem" zapoznano się z materiałami ode mnie, wyrażono ubolewanie, że z powodu braku czasu nie zdołano porozumieć się ze mną przed audycją i zaproponowano mi udział w następnym programie. Kiedy oczywiście odmówiłem, uzgodniliśmy, że niebawem przeprowadzimy szczegółową rozmowę. Nie doszło do niej, cykliczny ten program uległ zawieszeniu.

Fakt, że przed czterdziestu dwu laty musiałem wystąpić w tym tragicznym procesie jest brzemieniem dostatecznie ciężkim, aby je ktoś sztucznie i nieuczciwie potęgował, stwarzając sytuacje, wobec których jestem praktycznie bezsilny. Wiem, że dla niektórych rodaków stanowią dziś żywy symbol ówczesnej represji ale przyczyną tego nie jest moje upodobanie lecz służba wojskowa, od której nie mogłem się uwolnić a w której była prowadzona perfidna gra, polegająca na stawianiu AK-owców przeciw sobie i oczekiwaniu, co z tego wyniknie.

Postulatom o moralnym karaniu mnie podobnych wyszedłem jak gdyby na przeciw, to zaś, co od dziesięciu lat przeżywam, może być utożsamione z odbyciem surowej kary.

Załączniki: 3.


/adw. Cz. Łapiński/

13

Wypis z tomu V akt sprawy Sr.105/48 Wojskowego Sądu Rejonowego w W-wie
=====

Prośba o ułaskawienie W.Pileckiego z 8.V.1948

Naskutek rozkazu znalazłem się w 2 Korpusie, a potem w Polsce, do której przyjechałem z rozkazem przysyłania wiadomości do 2 Korpusu. Po przyjeździe do Polski otumanienie zaczęło mijać, lecz nie mogło przyjść raptownie. Zostałem tu Polskę, która z tygodnia na tydzień zaczęła do mnie przemawiać coraz zrozumialszym językiem. Nie podjąłem pracy konspiracyjnej, nie oparłem się ani na opozycji jawnej jak P.S.L., nie szukałem kontaktu z podziemiem Winu czy K.Z.S....

Ciążył na mnie rozkaz przesyłania wiadomości do 2 Korpusu. Zaczęłem celem wygrania czasu - przysyłać meldunki uspakajające 2 Korpus, że pracę rozpocząłem, lecz i na tym by się skończyło, gdyby nie zbieg okoliczności, że przyjechał kurjer z Korpusu - Płużański, który miał do mnie dojść, gdyż chcąc oderwać się od Korpusu podałem fokcyjny sposób szukania mnie w Warszawie przez ogłuszenie na bramie, gdzie bywałem. Pomimo wiadomości o tym, że jest przysłany do mnie rozkaz i moja gaża - nie idę po nie przez 3 miesiące i dopiero drugi kurjer zmusza mnie do tego. Następnie więc zaistniała taka sytuacja, że albo musiałem wyjechać za granicę, albo dawać jakieś materiały, gdyż nie mogłem się zdecydować pójść do Bezpieczeństwa i meldować już nie tyle ze względu na moją osobę, co na obawę narażenia kolegów. I tu rozpoczyna się moja działalność, która jest moją winą i chociaż w pojęciu moim nie ponosiłem odpowiedzialności za działalność kuriera, jednakowoż rozumiem, że nie powinienem był robić tego - czego dokonałem. Nigdy jednak w świadomości mojej nie powstała myśl, że działanie moje jest szpiegostwem, gdyż nie działałem na rzecz obcego mocarstwa, a posyłałem wiadomości do matczyńskiego oddziału polskiego i miałem zawsze nadzieję, że jednak kiedyś Rząd Polski i O.rodki emigracyjne jakoś się wreszcie porozumieją. Jakkolwiek może już dawno się pozbyłem wiary i sentymentu do ośrodków emigracyjnych i jakkolwiek rozumiałem, że może to zmienić moją sytuację na korzyść, nie mogłem się zdecydować na publiczne oskarżenie na rozprawie sądowej tych ośrodków, lub gdziekolwiek bądź indziej, gdyż rozmawiałem w ten sposób, że oficer, który oczernia swój oddział matczyński - zasłużył sobie na pogardę - nawet u samych oficerów śledczych. W chwilę aresztowania mnie - ustosunkowałem się do śledztwa pozytywnie i sam wskazałem miejsce przechowywania archiwum, które zawierało wszystkie materiały mnie obciążające. W ciągu roku nie wynikła żadna okoliczność, która by dowodziła, że mówiłem nieprawdę, lub wprowadziłem w błąd oficerów śledczych....

13

Wypis z tomu V akt Sr.103/48 Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie

Prośba o ułaskawienie T. Płużańskiego z 1.VII.1955 r.
/dot. zwolnienia warunkowego/

Wyrok mój, karę śmierci uznaję za słuszny...

Byłem winien i zostałem ukarany tak jak karzą wszystkie kraje i systemy za podobne przestępstwa w okresach podobnego nasilenia walki klasowej i narodowej. Ułaskawienie przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej przyjąłem z radosnym zdziwieniem...

Przerobiłem dotąd znaczną ilość dzieł Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina, Plechanowa, Kautzkiego, Szaffa obok wielu innych książek z dziedziny historycznej. Odnalazłem w nich to, czego poszukiwałem dotąd bezskutecznie, zwarty światopogląd, który stał się moim światopoglądem, racją, dla której życie nabiera sensu...

Ja chcę poważnie pracować. Pragnę, by taka była droga mojej rehabilitacji, bo ona wynika z postawy świadomego marksisty, którym się stałem...

Teraz, gdy padła jedyna przegroda, dzieląca mnie od Polski Ludowej jeszcze goręcej niż dotychczas pragnę znaleźć się wśród ludzi budujących wolność, pokój i socjalizm.

Dlatego proszę Radę Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o darowanie mi reszty kary.

/-/ Tadeusz Płużański

Pan Redaktor Dariusz Baliszewski
fax/+4822/843-44-92.

19.V.98

Szanowny Panie! Nie powiedziałem, niestety, o dwóch, nader istotnych dla prawidłowych ocen procesu, sprawach, mianowicie: 1/że skazanie objęło także zbrodnię przechowywania, w specjalnie sporządzonych schowkach, dużej ilości broni, amunicji i trotylu, oraz 2/że Najwyższy Sąd Wojskowy - wyrok z 1.X.1990 r. - nie podważył żadnego z przypisanych oskarżonemu czynów a jedynie dokonał innej ich oceny politycznej.

W powstałej sytuacji czy nie jest możliwe stosowne uzupełnienie zubożonych przeze mnie materiałów audycji, skoro zamierza Pan rozmawiać jeszcze z historykami?

Był Pan wobec mnie lojalny i chyba życzliwy, jednakże wyraźnie odczułem, że nadchodzi kres mojej odporności psychicznej. I o tym, choć miałem taki zamiar, również nie zdążyłem powiedzieć. Oto od osiemnastu lat żyję pod pręgierzem tej sprawy. Spotyka mnie ostracyzm ze strony wielu ludzi. Pozbawiony zostałem statusu kombatanta, na który zasłużyłem pędzając od Września, kiedy dowodziłem baterią i biłem się do 27-go tego miesiąca. W wyniku "Rewizji" z 7.VII.1990 r. przekreślony został cały dorobek mojej, wydawało się, nienagannej pracy adwokackiej i obrońcy wojskowego /30 i 37 lat/ albowiem zostałem skreślony z listy adwokatów polskich. Krzywdzącą decyzję zaskarżyłem do NSA ale po głębokiej rozwadze i w celu usatysfakcjonowania oskarżycieli skargę wycofałem.

Nie wykluczam, że aktualne pokazanie mnie w Pana programie zachęci do dalszych aktów dezaprobaty, do zdezwauowania moich wypowiedzi /np.co do pojęcia "zbrodni sądowej"/ a nawet wrogości. Tak się te polskie pojałtańskie losy poplątały i zawęziliły.

Łączę wyrazy szacunku.

/-/ Cz. Łapiński

Warszawa, dn. 18.V.1999 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Stosownie do naszego porozumienia przesyłam na wyłączny Pana oraz pp.Chlebowskiego i Poksińskiego użytek szczegółową relacje o sobie i o moim uwikłaniu się w latach PRL-u w wojskowy wymiar sprawiedliwości.

Może zbyt wiele miejsca zajęły w tej relacji sprawy ogólnie znane, bądź wręcz banalne, jednakże wyniknęło to z przekonania, że często właśnie kontekst wydarzeń potwierdza ich rzeczywiste zaistnienie oraz ułatwia dokonywanie właściwych ocen.

Wada wzroku spowodowała liczne usterki maszynopisu, za co bardzo przepraszam.

Łączę wyrazy poważania.


/Cz. Łapinski/

Wielu moich rówieśników o statusie oficerskim przebrnęło przez PRL obronną ręką. Jest także, choć już bardzo nieliczna, grupa kolegów z wojskowej służby sprawiedliwości, którzy pozostają w cieniu i spokojnie żyją, bo uniknęli zastawionych na nas wszystkich pułapek. Podobny spokój stał się również udziałem tych oficerów, którzy w okresie najwyższego wezbrania fali terroru w latach pięćdziesiątych, jako prokuratorzy z pełną świadomością prowadzili bądź nadzorowali śledztwa, oparte na fałszu i przymusie, jako sędziowie zaś, zdając sobie sprawę, że przed nimi stoją niewinnie oskarżeni skazywali ich na najwyższy wymiar kary. Niewielu spośród tych rzeczywistych kreatorów stalinowskiej represji żyje w kraju, znaczna część znalazła schronienie za granicą, głównie w Izraelu.

PRL stał się kolejną formacją tych dziwnych czasów, liczonych przeze mnie już od momentu otrzymania 24 sierpnia 1939 roku karty mobilizacyjnej, w których zawaliły się wyznawane prawdy, reguły gry i wielkie autorytety. Naturalną pochodną tych negatywnych zjawisk stała się z jednej strony nieklarowność rozwiązywanych spraw, bo często kryło się w nich jakieś to drugie dno, z drugiej zaś dwoistość postaw ludzkich, powodująca wzajemną nieufność. Na tle takiej oto rzeczywistości przemożną siłą zaczęła odgrywać przypadkowy zbieg okoliczności, zrządzenie losu. Korzystne albo niedobre. To, co mówię, bynajmniej nie wynika z naiwności, bo wiara, że wszelkie zdarzenia zależą od losu, nosząca miano fatalizmu, stanowi od tysiącleci kategorię zarówno filozoficzną, jak i religijną, nie wykluczając chrześcijaństwa.

Mój fatalizm jest nieco zmodyfikowany, albowiem w aspekcie różniczeniowym uważam, że przypadek tylko wtedy usprawiedliwia popełniony błąd jeżeli wyeliminował i w ten sposób całkowicie zastąpił świadomy akt woli. Nie wolno jednak zupełnie pomijać ani bagatelizować przypadkowego zbiegu okoliczności, bo znalezienie się przez nas w sytuacji nietypowej, zaskakującej i niekiedy nawet dramatycznej, mogło w znacznym stopniu przyczynić się do podjęcia błędnej decyzji; wprawdzie już samodzielnej, lecz nie w pełni swobodnej.

Ja szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam uniknięcie różnych i różnej natury niebezpieczeństw i tylko w Powstaniu zostałem nieco pokiereszowany.

W czasach PRL-u następowały wydarzenia, uważane dotąd za niemożliwe bądź przynajmniej nieprawdopodobne, nie spełniało się natomiast to, co uchodziło za bezwzględnie pewne i oczywiste. Niewiarogodnie poplątały się także, a nawet często trwale zawęźliły, ludzkie losy. A oto pierwszy z brzegu przykład nieprawdopodobieństw zdarzeń w tamtych czasach.

W drugiej połowie 1945-go roku pijany plut.pchor. Stanisław T, także były AKowiec, w biały dzień i w centrum Łodzi zastrzelił kapitana NKWD w polskim mundurze. Zabójcą okazał się rodzony brat Witolda T, mojego przyjaciela, zarazem kolegi z Podchorążówki i kombatanta z Września. Jakkolwiek byłem zdala od śledztw, udało mi się włączyć do niego, jednak z dużą dozą sceptycyzmu, bo sprawa gardłowa z każdego punktu widzenia.

Po kilku dniach Witold zaskoczył mnie wiadomością, że prowadzący śledztwo kapitan Informacji, Żyd z pochodzenia, który każe się nazywać Saszą, gotów jest pomóc aresztowanemu bratu, obawia się jedynie prokuratora i sędziego. Było wykluczone, aby Witold zdołał przekupić Saszę, skoro po niedawnym powrocie z oflagu był tak biedny, że nawet musiałem mu dać swoje, uprzednio starannie wyłataną, popowstańcze burberry. Siostrom zakonnym udało się po ustaniu działań, część naszego ocalałego mienia przenieść do Milanówka.

Mogła jedynie wchodzić w grę (prowokacja) zachowując konieczną ostrożność porozumiałem się ze śledczym, ale szybko nabrałem zaufania do Saszy. Okazało się, że jakoś odnalazł dwóch świadków, którzy stwierdzili, że Rosjanin był bardzo pijany i napastawał na Piotrkowskiej kobiety. W odpowiedzi na grzeczną, rozpoczętą od zaskutowania interwencję podchorążego wyjął z kabury pistolet, zarepetował i wycelował w niego. Doszło do szamotaniny i wtedy padł strzał.

Stanisław T potwierdził fakt wyjęcia broni, ale wyłącznie po to, aby kapitan zreflektował się; strzał padł przypadkowo, gdy przepychali się. Wspólnie ze śledczym doszliśmy do przekonania, że jako oskarżyciel mogę mieć w sądzie trudności, a to z uwagi na występujące w sprawie ele-

menty obrony koniecznej. Sprawę dostał do prowadzenia kpt. Roman Fogel, którego wprawdzie nie znałem bliżej, ale również nie uważałem go za lewaka, w związku z czym ujawniłem przed nim swoje przyjacielskie stosunki z bratem oskarżonego. Od razu odniosłem wrażenia, że sprawa znalazła się w dobrych rękach. Aktu oskarżenia nie udało się więc obronić, podchorąży wyszedł na wolność, bo sąd uwolnił go od kary uznając przekroczenie granic obrony koniecznej. Pozostało niebezpieczeństwo zaskarżenia wyroku przez szefa prokuratury, ale z tym skutecznie poradziłem sobie, wyposażony w szerokie prerogatywy zastępcy, mjr Broniewicz, o którym powiem później.

Los bezlitośnie potraktował naszego sędziego. Oto okazało się później, że nowo poślubiona małżonka - poznałem ją osobiście - skąd inąd córka urzędującego wówczas i jeszcze długo potem sędziego NSW, to nikt inny tylko współniczka Kalksteina i Świerczewskiego - Błanka Kaczorowska "Sroka".

Skoro, jak niedawno sprawdziłem, osądzona została dopiero w roku 1953-im, a wchodzi już wtedy zdemaskowano, wydaje się oczywistym, że trzymano ją na wolności, aby mogła tropić znanych jej oficerów z wywiadu AK.

Obecne przypomnienie sobie działalności zbrodniczej trójki, przede wszystkim zaś Świerczewskiego, wywołało refleksję, jaka mi towarzyszyła przy corocznym składaniu wraz z innymi byłymi żołnierzami Ochoty kwiatów przed kamiennicą, w której został aresztowany gen. "Grot" Rowecki.

Nie stać mnie już na długotrwałe i mozolne poszukiwanie źródłowych dowodów, ale intuicja narzuca mi bezwzględne przekonanie, że wskazany przeze mnie zbrodniarz decydująco przyczynił się do warszawskiej hekatombi. Moim zdaniem gen. "Grot" nie pozwoliłby zdominować się przez jastrzębie i polityków z Komendy Głównej, zgadzając się natomiast z poglądami takich jej członków, jak między innymi płk Pluta-Czachowski, stary, doświadczony żołnierz. Gen. Rowecki nie wydałby w warunkach ówczesnych kategoriycznych przeciwwskazań rozkazu wszczęcia powstania.

Roman Fogel, po natychmiastowym zwolnieniu go z wojska nie przeszedł do adwokatury. Nigdy go więcej nie spotkałem a chętnie okazałbym mu po latach swoją wdzięczność. Prawdopodobnie wyemigrował do Izraela, ale nie w niesławie.

"Syndrom wojska" lub "wojskowości" - tak bym określił, zapytany przez psychologa, obszar swoich szczególnych zainteresowań, oczekiwań i stosownego angażowania się. Na odpowiadające temu określeniu ukształtowanie się mojej psychiki wpływały, podobnie jak w życiu każdego z nas, liczne i różne czynniki, przy czym nie sposób określić, które z nich oddziaływały najmocniej.

Brzmi to dla mnie samego niewiarogodnie, ale z całą wyrazistością zachowałem w pamięci obraz zwycięskiej szarży Kozaków w Dąbrowie Górniczej na uciekających w popłochu pruskich piechurów, którzy na głowach mieli pikielhauby w wojskowych pokrowcach. Kozacy cięli szablami i nahażkami, Niemcy, oddając nieliczne strzały, usiłowali bronić się bagnietami ma lufach karabinów. Takich samych niemieckich żołnierzy widziałem nieco wcześniej, kiedy kolejno obchodząc mieszkania w naszej kamiennicy, zabrali nam miesięczny moździerz i klamki od drzwi. Wszystko to zaś musiało się dziać, jak wynika z historycznego przekazu, w roku 1915-ym a więc wówczas, kiedy mogłem mieć niewiele ponad trzy lata.

Wielki ładunek emocjonalny zawierały, świetne również pod względem formy, opowiadania mojego ojca. Jako młody lekarz został wcielony do armii carskiej, w której w randze "sztabsarcta" przebywał do 1918-go roku. Na krótko przed wybuchem wojny, kiedy miałem niespełna dwa lata, moją mamę sprowadził wraz ze mną do Rostowa nad Donem. Miano tam przeprowadzić specjalną kurację dla ratowania życia mojej młodej mamy, zagrożonej gruźlicą. W czasie naszego tam pobytu "dzieńszczyk" ojca, chcąc mnie zabawić podobno często sadzał na lufie wielkiej armaty. Zartowaliśmy potem, że w ten sposób nawiązałem pierwszy i wyroczny kontakt z artylerią.

Najważniejsza jednak wiadomość, jaką otrzymałem od ojca to ta, że moja matka była prawniczką gen. Józefa Chłopickiego. Pamiętam, jak interesująco opisywał ojciec odznaczenia, broń osobistą i inne liczne pamiątki po Generale, jakie podziwiał w mieszkaniu teściów. Ktoś unałby może dzisiaj podobne wspomnienie za nadto patetyczne, jednakże nikt rozsądny nie zaprzeczy, że efektowna narracja ojca mogła wywrzeć znaczący

wpływ na chłonną wyobraźnię młodego chłopca.

W roku 1920-ym z wielkim przejęciem słuchałem opowiadań - może na mój użytek szczególnie ubarwionych - mojego wuja o jego mężnym udziale w Bitwie Warszawskiej. Przywiózł ze sobą wielki, chyba jakiś archaiczny karabin, którym bezkarnie wolno mi było manipulować.

I wreszcie ostatni wojskowo-patriotyczny impuls, to w ^w mojej rodzinie po kolejnym ożenku ojca, ściśle pielęgnowana tradycja corocznego odwiedzania grobów dwóch powstańców z 1863-go roku.

Podobnie, jak zresztą wielu rodaków, zawsze uważałem wojsko za jeden z głównych filarów państwa, ostoję ładu społecznego i instytucję trwałą, ponadczasową mimo zmieniającego się niekiedy kroju mundurów czy fasonu czapek. Jest charakterystyczne, że wojsko **nie interesowało** mnie pod kątem widzenia profesjonalnym, **lecz wyłącznie, jako męska przygoda z patriotyczną motywacją.**

Szczególne to moje upodobanie do munduru, broni i całej wojskowej obrzędowości, połączone z głębokim poczuciem dyscypliny, sprawiało, że zawsze byłem uważany za dobrego żołnierza. Z podobną oceną spotkałem się również w PRL-u, paradoksalnie jednak stało się to **główną przyczyną** moich późniejszych kłopotów. Zmierzałem do nich długą i różnie urozmaicaną drogą.

Pierwsze zetknięcie się z mundurem dotyczyło organizacji paramilitarnej. W czasie studiów lekarskich na UW w Krakowie, w roku 1930-ym wstąpiłem do Akademickiego Oddziału Związku Strzeleckiego. Wkrótce uzyskałem najniższy stopień oficerski - dzisiaj ta nazwa nie najlepiej się kojarzy oddziałowego.

W latach 1933/34 ukończyłem cieszącą się wielką renomą Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii - SPRA we Włodzimierzu Wołyńskim. W swojej baterii szkolnej byłem starszym klasy, to jest przedstawicielem kolegów wobec dowództwa baterii, a także zajmowałem się pracą społeczną, zorganizowałem i prowadziłem chór. Przed Dniem Podchorążego, spośród kilkuset elewów zostałem wytypowany na dowódcę w stopniu porucznika **pierwszej w dziejach Szkoły warty historycznej.** Wystąpiliśmy we wspaniałe uszytych w Warszawie mundurach z 1831-go roku, a więc z epoki gen. Chłopickiego.

Mianowany oficerem dostałem przydział do 32 dal w Rembertowie, jednostki wyróżniającej się spośród innych tym, że, położona w pobliżu stolicy, demonstrowała co pewien czas wysokie umiejętności polskiej artylerii, na użytek odwiedzających nasz kraj przedstawicieli zaprzyjaźnionych armii. Ostatnim ważnym gościem przed wybuchem wojny był szef sztabu brytyjskiego, gen. Ironside. Pokazy mojego dal wywoływały najwyższe uznanie, co jednak mogło wynikać również stąd, że od dawna mieliśmy wstrzelany na starym poligonie każdy krzaczek i każdą górkę. Brałem udział w życiu dywizjonu, nawiązałem liczne przyjaźnie.

Swoistym wyróżnieniem stało się nazajutrz po ogłoszeniu mobilizacji wyznaczenie mnie, oficera rezerwy na funkcję przewodniczącego komisji poboru koni. Na boisku "Skry" w Warszawie przyjąłem płacąc bonami skarbowymi wiele pięknych koni wierzchowych i pociągowych dla swojej jednostki i plutonu żandarmerii. Spotkaliśmy się ze strony wielu właścicieli zwierząt z prawdziwie patriotyczną postawą bez szemrania oddawali dorodne, zadbane sztuki. Wszystkie swoje piękne konie pociągowe przyprowadziło żydowskie przedsiębiorstwo pogrzebowe "Ostatnia posługa", a także znana firma warszawska "Fr. Karpiński" ogołociła swoje stajnie. Sympatycznym gestem tej firmy było przysyłanie nam w tym skwaronym dniu wielkiego wózka z wodą sodową i różnymi napojami ^{jej} produkcji. Były nieliczne próby wyreklamowania konia bądź szcztucznego zawyżania jego wartości. Celowali w tym warszawscy dorożkarze. Obydwie, dyskutujące na temat ceny, strony nie zdawały sobie sprawy, że ich spór ma li tylko symboliczny charakter, jakkolwiek niedawno dowiedziałem się z radia, że jakiś osobnik wystąpił z pozwem przeciw rządowi o zapłatę za oddanego wtedy konia.

Moment otrzymania 24-go sierpnia karty mobilizacyjnej przyjąłem jako akt nobilitacji i szansę uwiarodnienia się w roli rzeczywistego żołnierza. Nastrój, który tej chwili towarzyszył mogę bez przesady nazwać euforycznym. W ten sposób wszedłem w taki okres życia, który najgłębiej zapisał się w mojej świadomości i do którego mimo tak **znacznego** upływu czasu często myślami nawracam.

Jednostka moja została przemianowana na 32-gi pal, jednakże zdołaliśmy wystawić tylko dwa dywizjony. W baterii haubic zostałem mianowany oficerem ogniowym, który jest z funkcji zastępcą dowódcy baterii. Podlegało mi dwóch oficerów, będących dowódcami plutonu. Z ramp w Kawęczynie załadowaliśmy się na lory i w dniu 28-go sierpnia, w składzie Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Narew" zajęliśmy stanowiska nad granicą z Prusami. Zaopatrzeni prawie wyłącznie w mapy tej prowincji.

Po wielu latach, w żartobliwej rozmowie z obsługującymi swoje muzeum, byłymi obrońcami Westerplatte, próbowałem przekonać ich, że ja wcześniej rozpocząłem wojnę. W rzeczywistości stało się bowiem tak, że 1-go września przed godziną piątą zostałem zaalarmowany przez kanonierów, że widzą Niemców. Był to dość duży patrol motocyklowy, który kazałem wstępnie ostrzelać załodze pierwszego działka. Zdenerwowany celowniczy chybił, ja zaś zostałem zganiony przez dowódcę dywizjonu za samodzielne otwarcie ognia. W pierwszej chwili poczułem się skrzywdzony naganą, gdyż uważałem, że widok nieprzyjacielskiego patrolu, swobodnie przekraczającego moją granicę stanowi wystarczający powód, aby go chcieć natychmiast zniszczyć, ale wkrótce już zrozumiałem, że staliśmy się zależni od, od razu stworzonej przez Niemców a niekorzystnej dla naszej grupy operacyjnej, sytuacji na tym odcinku frontu. Stąd w kilka godzin później rozpoczęliśmy manewr wycofywania się. W licznych wspomnieniach i w literaturze jawi on się jako smutny symbol naszej wojny. Dla nas stanowił szczególny dysonans na tle planowanej, jakby wynikało z ukierunkowanego przydziału map, ofensywy na Prusy.

Nasze wycofywanie się, przeprowadzane zresztą przeważnie w porze nocnej - nauczyliśmy się podgrypić w siodle, co w zasadzie jest zabronione - nie było jednak permanentną ucieczką, bo jednocześnie pasmem bitew i potyczek, kończących się niekiedy znacznym nawet sukcesem.

Jeśli mowa o doraźnych zwycięstwach to główne pochwały za nie należą się tak zwanej szarej piechocie. Zmęczeniu i niewyspani, na obolałych nogach przemierzali długie trasy, gdy myśmy pokonywali je na koniach lub pojazdach, poczem o świcie skutecznie bronili się lub z powodzeniem nacierali. Przed wojną żołnierze piechoty, przezywani zajęciami stawali się często przedmiotem kpin i lekceważenia, zwłaszcza ze strony kawaleryjskich fasoniarzy i głupeków, ale również my, artylerzyści niekiedy także nie byliśmy bez winy.

W odróżnieniu od wielu naszych rówieśników, którym przypadły w udziale jedynie gorycz tułaczki i bezsilności, my, żołnierze 32-go pal zazналиśmy nieco wojny. Często dochodziło do bezpośredniego starcia z nieprzyjacielem, zwłaszcza z jego bronią pancerną, co wymagało, według terminologii artyleryjskiej, prowadzenia ognia na wprost a od obsługi sprzętu wielkiego opanowania i precyzyjności działania.

W drugim lub trzecim dniu wojny, w miejscowości o nazwie Goworowo mieszkańcy pokazali nam nadpaloną stodołę, w której znajdowały się zwłoki kilkunastu chłopców z Obrony Narodowej. Mimo, że byli umundurowani, hitlerowcy potraktowali ich jak dywersantów, skrupowali im ręce kolczastym drutem i próbowali spalić. Wstrząśnięty tym przejawem teutońskiego barbarzyństwa kazałem sobie dać nieregulaminową dla oficera broń, mianowicie karabinek wraz z amunicją zapalającą w ładownicach. Kilkakrotnie użyłem go z bliskiej odległości przeciw niemieckiej piechocie. Wbrew postanowieniom odnośnej konwencji genewskiej.

To moje prywatne dozbrojenie się nie zostało zganione przez dowództwo, lecz miało nawet obiektywne uzasadnienie. Mogliśmy jakoś przeboleć nie przydzielenie oficerom naszego pułku bojowego, wielokalibrowego pistoletu, bo uzupełnialiśmy ten brak, w artylerii akurat mało odczuwalny, posługiwaniem się własną bronią. Problemem był natomiast brak broni maszynowej i podręcznej ppanc - nowiutkie kbur-y widziałem w przydrożnych rowach - niezbędnych do osłony stanowiska ogniowego w wypadku zaskoczenia go, a tak się zdarzało w tej wojnie. W naszej baterii mieliśmy na uzbrojeniu tylko jeden rkm, który w dodatku, a może na szczęście, okazał się niesprawny. Na początku działań dostałem rozkaz zaryglowania jednym działkiem i tymże rkm leśną drogą w Czerwonym Borze. W pewnym momencie pojawiły się zza wzgórza i od strony, z której mogli tylko nadejść Niemcy trzy furazerki. Erkaemiście dałem znak, ale zapano

nowała głucha cisza a z za wzdórza wyłonił się wraz z dwoma zwiadowcami por. Krasuski, oficer zwiadowczy pułku. Pomylił drogę i wskutek tego wracał z niewłaściwego kierunku. Po drodze zostali ostrzelani z tankietki, ale pocisk strzaskał mu jedynie lornetkę. Krasuski był adwokatem, kiedy spotykaliśmy się w sądzie przypominałem mu, że zawdzięcza mi życie.

Wkrótce poniosłem pierwszą bolesną stratę, bo nie powrócił z wystrzeżonego punktu obserwacyjnego dowódca plutonu, ppor. Tadeusz Szeliga. Jestem przekonany, że bylibyśmy przyjaciółmi. W przeddzień wyruszenia jednostki nad granicę dostaliśmy pozwolenie na krótki wyjazd do Warszawy. Już w połowych mundurach, jego potężnym "Sokołem" jeździliśmy z fasonem po mieście, aby kolejno odwiedzić i pożegnać swoje narzeczone.

Przebieg działań wojennych ujemnie odbijał się na nastrojach żołnierzy i nie tylko szeregowców. Unikając urzędowości, w formie koleżeńskie pogadania sobie starałem się wpływać na ich poprawę. Jakkolwiek zdawałem sobie już sprawę z rażącej nierówności sił, to jednak zupełnie szczerze przekonywałem swoich rozmówców, że mamy szansę obrony. Zmierzały w kierunku Lwowa, w pobliżu którego i wzdłuż Bugu będzie przebiegała ostatnia linia oporu, wykluczająca tym razem nieprzyjacielski manewr okrążenia nas. Mimo ewentualnych strat, będziemy się w tej dogodnej sytuacji długo bronili, dając czas aliantom, aby mogli przyjść nam z pomocą, przede wszystkim lotniczą.

Krzepiący mit o wiernych aliantach rozwiązał się niebawem, zresztą zgodnie z wielokrotnie doświadczaną przez Polskę, historyczną prawidłowością. Z kolei wielu z nas z całą ostrością i rozgoryczeniem uprzytomniało sobie, że w ciągu minionego dwudziestolecia nie potrafilimy stworzyć w miarę nowoczesnej armii. Bardzo efektownie prezentowaliśmy się na koniu, z zakrzywioną kawaleryjską szablą przy siodle, ale na polu walki jakże oczywistą przewagę miał sprzęt doczepiony do ciągnika i każdy officer artylerii, poruszający się chociażby lekkim, terenowym folkswagenem. Moje rozmowy już w czasie okupacji ze znawcami przedmiotu rzuciły cień na postać marszałka Piłsudskiego, mojego wodza i proroka, w obronie którego niejednokrotnie nabiłem przeciwnikowi albo oberwałem od niego bolesnego guza. Oto rzeczoznawcy moi zarzucili Marszałkowi niewybaczalny grzech konserwatyzmu, polegający na utrwaleniu modelu sił zbrojnych z roku 1920-go, opartego na broniach konnych.

W drugim tygodniu wojny, w czasie dziennego przemarszu całego pułku, bowiem zostaliśmy włączeni w skład 41-ej DP, zaatakowały nas, całkowicie pozbawionych osłony przeciwlotniczej, trzy niemieckie myśliwce. W czasie kolejnego nawrotu ostrzelały i zapaliły niebieską, cywilną "Tatrę", którą jeden z oficerów rezerwy oddał do dyspozycji jednostki. Zajmujący w niej miejsce dowódca pułku, płk dypl. T. Tabiszewski zginął na moich oczach, kiedy organizowałem grupowe ostrzeliwanie z karabinów nadlatującego myśliwca, co w rzeczywistości oznaczało liczenie na cud.

Od połowy września stałem się faktycznym dowódcą baterii, mając do pomocy tylko jednego dowódcę plutonu. Udawało mi się potem uzupełniać braki ludzkie, w koniach i sprzęcie, dzięki czemu bateria do ostatniej chwili zachowała pełną sprawność bojową. Jeden działon z jakiejś rozbitej baterii wziąłem prawie siłą, bo dowodzący ^(nim) oficer odmawiał przyłączenia się do mnie. Właśnie straciłem w ostatniej bitwie jedno działko, on zaś chciał beżużytecznie błakać się po szosach ze sprawnym sprzętem.

Z bólem serca musiałem wyrazić zgodę na zastrzelenie przez ordynansa mojej klaczy, której nogę uszkodził jakiś odłamek. Konie traktowaliśmy wtedy jako istoty żywe i bliskie a zarazem cenione za to, że nas niosły albo ciągnęły ciężki sprzęt. W kilka dni później spotkał mnie bolesniejszy cios, bo niemiecki pocisk przeciął dosłownie na pół głowę wraz hełmem właśnie tego ordynansa - bomb. Jakubowski, gdy szedł w moją stronę. Był to sympatyczny, inteligentny chłopiec, opiekujący się mną jak własnym ojcem. Niedawno odłączyliśmy obydwaj w nocy od maszerującej kolumny, aby wytropić i zatrzymać dywersanta, który ze wzniesienia obok szosy, siedząc na motocyklu nadawał sygnały świetlne. Był w mundurze szeregowca, tak czystym i świeżym, że na pewno dotąd nie używanym. Za dnia przekazałem aresztowanego żandarmerii.

Niebawem zostałem jedynym oficerem w baterii, bo mój kolega zniknął którejs nocy. Oficer ten, w cywilu pracownik naukowy jednej z wyższych uczelni, niemal od pierwszej chwili nie ukrywał swojego głębokiego pesymizmu co do ostatecznego wyniku wojny i wręcz obsesyjnie z tym się obnosił. Poprosiłem go więc, aby stanowczo zaniechał podobnych wynurzeń wobec podoficerów i kanonierów, pamiętając przy tym, że jest dowódcą plutonu.

Zaginięcie kolegi nastąpiło w kilka dni po przykrym incydencie. W czasie bitwy nie udawało się nieprzyjacielowi zlokalizować naszego stanowiska, a widocznie okłazaliśmy się mocno dokuczliwi. Ustawiłem baterię na lizjerze lasu w ten sposób, że od góry całkowicie zasłaniały nas gałęzie i z tego powodu na próżno długo krążył nad nami zwiadowczy „Storch”, zwłaszcza, że kiedy nadlatywał, przerywałem ogień. W pewnym momencie ktoś krzyknął, że zbliżają się Niemcy. W głębi długiej przesieki zobaczyłem przez lornetkę, jakże nietypowy dla tej wojny obrazek, mianowicie niemiecki oddział kawaleryjski. Wyjątkowo miałem wtedy osłonę w postaci drużyny ckm, dowodzonej przez porucznika piechoty. Posłali kilka serii, wspomogłem ich kanonierami i sam już zdejmowałem z pleców karabinek, wołając jednocześnie do kolegi, aby obrócił pierwsze działo w kierunku Niemców. Wprawdzie domyślałem się, że zapewne jest to konny zwiad, ale mogło pojawić się za nim inne wojsko, zwłaszcza broń pancerna. Odwróciłem głowę w stronę kolegi i wtedy zobaczyłem coś równie szokującego, jak i groteskowego. Oto rosły, dość korpulentny mężczyzna w mundurze, mierzący przed siebie z trzymanego w wyprostowanej ręce pistolecika, biega od brzozy do brzozy. Zdałem sobie sprawę, że z wielu względów muszę natychmiast opanować tę chorą sytuację. Podbiegłem do miotającego się kolegi, odwrócony plecami do baterii, demonstracyjnie, bo na wysokości jego piersi, zarepetowałem i krzyknąłem, że strzelę, jeśli natychmiast nie schowa do kabury „tego gówna” i nie pobiegnie do działka. Brutalność moja na szczęście okazała się skutecznym lekiem na załamanie nerwowe. Powróciłem na stanowisko ckm, ale niepotrzebnie, bo patrol zniknął w lesie. Nie potrafiłszy dojrzeć, czy i jakie straty ponieśli Niemcy.

W jakieś dwadzieścia minut później przekonaliśmy się, że przepłoszeni zwiadowcy dobrze jednak wykonali swoje zadanie. Jeżeli przesieka, w której to wszystko rozgrywało się była dawno zrobiona, to na pewno znajdowała się na polskich mapach sztabowych, a te przecież były w posiadaniu Wehrmachtu. Zostaliśmy więc precyzyjnie zlokalizowani, bo ukosem przez stanowisko ogniowe oraz znajdujące się za nim przodki wraz z zaprzęgami przeszła mordercza nawała ogniowa, powodująca duże straty w ludziach, koniach i sprzęcie. Wtedy właśnie poległ mój ordynans - bomb. Bronisław Jakubowski, sympatyczny człowiek, odważny żołnierz.

Poczucie wstydu i utrata autorytetu u dobrych żołnierzy stały prawdopodobnie przyczyną tego, że kolega nieco skrócił sobie tę wojnę, byliśmy jednak na siebie skazani, bo spotkałem go w czasie okupacji. Niemal wpadłem na niego, doszło więc do rozmowy. Zachowywał się nienaturalnie i zamiast spontanicznie podjąć próbę wyjaśnienia drażliwej sprawy, wyraźnie czekał na moje pytania, jednakże ze względu na nieszczerość jego postawy żadnych pytań nie doczekał się. Zawołowana aluzja jego na temat udziału w konspiracji wyraźnie zaostrzyła moją czujność.

Sceneria wojenna nie przyczynia się do wzrostu wprzejmości, natomiast dowódca, człowiek prawnie i moralnie odpowiedzialny za los podkomendnych, bywa niekiedy zmuszany do bezwzględnego postępowania. Jeszcze przed zajściem z dowódcą plutonu zdarzyło się tak, że przyzicie dzielono mi zadanie osłaniania wspólnie z plutonem piechoty jedną haubicą tyłów maszerującej kolumny. W pewnym momencie z lizjery lasu dostaliśmy mocny ogień z różnej broni i za chwilę w odległości około czterystu metrów pojawił się duży czołg i tankietka. Z konieczności ustawiłem działo na skrzyżowaniu dróg, a więc jak tarczę na strzelnicę. Czołgowy artylerzysta musiał się chyba dopiero przyuczać, bo pułkował, ale lada chwila moglibyśmy być zmieceni z powierzchni szosy. Gęsto było wokół nas od pisków broni maszynowej. I pewnym momencie

dostrzegam, że kapral celowniczy trzęsie się jak w febrze, podobnie jego prawa ręka a to oznacza, że na pewno nie potrafi dokładnie zgrać celu w wizjerze. Stoję z przeciwnej strony działa, zanim się przemieszcę i zajmę jego siodełko przy celowniku, upłynie kilka cennych sekund. Poza-tem nastawiałem działo ostatni raz jeszcze w Podchorążówce. W tej, do gra-nic napiętej sytuacji krzyknąłem: - Opanuj się, ty ...dziadu! - i uderzyłem go w twarz. Momentalnie oprzytomniał, przywarł do celownika i podał ko-mendę. Pod kolosem zakotłowało się, zniosło go lekkie w lewą stronę i znieruchomiał. W tym momencie podjechał galopem działon dak, który zajął się tankietką, będącą zresztą już w odwrocie. Celowniczego uściskałem i publicznie chwaliłem. Zapanowała potem między nami wielka komitywa. Mu-siał on okazać się w ogóle dobrym żołnierzem, skoro mimo iż był Żydem, przeszedł do rezerwy w stopniu kaprała. W cywilu zajmował się krawiect-wem.

Pod koniec miesiąca znaleźliśmy się w rejonie Tomaszowa Lubels-kiego. Na odprawie korpusu oficerskiego, zgromadzonego w wiejskiej szko-le, dowódca pułku, powołując się między innymi na wkroczenie Armii Czer-wonej, ogłosił kapitulację. Warunkiem jej było między innymi zgłaszanie się oficerów w wyznaczonym punkcie. Na pewno wielu z nas, żyjących, prze-chowuje głęboko w pamięci tę tragiczną chwilę, oznaczającą kres wszel-kiej nadziei.

Przez cały czas kampanii baterie nasze działały w oderwaniu od siebie, w różnych powiązaniach taktycznych, dlatego też nie orientowałem się, ile ich pozostało i w jakim są stanie. Co do mojej podjąłem decyzję o natychmiastowym uczynieniu jej niezdatną do użytku, zgłoszenie się zaś na punkt zborny dla oficerów uznałem za już nie obowiązujące mnie.

Żołnierze raz jeszcze pokazali się ze swojej najlepszej strony. Pośpiesznie i sprawnie niszczyli sprzęt; przyrządy optyczne, zamki ha-ubic i wszelką amunicję zatopili w stawie, informując o tym mieszkań-ców wsi. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że w wypadku pojawienia się Niemców możemy zapłacić - a ja na pewno - wysoką cenę za to, co robimy. W rzeczywistości, gdy trzeźwo to rozważyć, odpowiadalibyśmy jedynie za tego rodzaju odruch wściekłości i za symboliczny gest, bo niszczonego sprzęt nie przedstawiał dla Niemców żadnej wartości użytkowej.

Konie rozdałem gospodarzom, zastawiając nam jedną parę, zaprzęgnię-tą do furmanki, na którą chłopcy wrzucili kilka karabinków. Dostaliśmy mianowicie wiadomość, że w odległości kilku kilometrów walczy jeszcze z Niemcami duży oddział. Udaliśmy się w tym kierunku, po drodze sprawied-liwie, w równych częściach rozdzieliłem baterijną kasę. Pozostało przy mnie czternastu żołnierzy, w tym trzech podoficerów. Po krótkim marszu dotarliśmy - z naszego kierunku było to możliwe - do złożonego z roz-bitków dość dużego zgrupowania pod dowództwem płk. Kurka. Słyszałem póź-niej, że był bratem znanego literata krakowskiego, Jalu Kurka. Walka trwa-ła niecałą dobę, zgrupowanie było bez szans.

Zdecydowaliśmy, że wracamy do swoich miejsc zamieszkania. I zaraz na samym wstępie popełniłem błąd, który mógł mnie wiele kosztować. W pew-nym momencie naszej wędrówki zaskoczył nas widok żołnierza rosyjskiego, stojącego na ścieżce prowadzącej do lasu. Nie budzący respektu wygląd żołdata w wyrudziałym szynku z parcianym paskiem, mimo długiego bag-netu na lufie karabinu, czy też bezkrytyczna ciekawość sprawiły, że wesz-liśmy do lasu. Zaraz na wstępie straciłem ostrogi, bo wartownik, pokazując jak gdyby na swoje usprawiedliwienie, że na swym piechocińskim kamaszu ma tylko jedną, upomniał się o nie. Na dużej polanie ujrzelśmy tłum takich, jak my rozbitków, otaczających czołg ze stojącym na nim oficerem czy komisarzem. Domyśliłem się, że trafiliśmy na miejsce postoju jakie-gos wysuniętego na północ bolszewickiego zagonu. Jak mogliśmy się zo-rientować, komisarz dawał pokaz krzykliwej i prymitywnej agitacji, z któ-rej wynikało, że sprawcami nieszczęścia Polski są "pamieszczuki i afi-cery." Co do tych ostatnich, to należy ich wskazywać, bo zgodnie z prawem międzynarodowym powinni być na pewien czas internowani, co zresztą och-roni ich przed Niemcami. W pewnym momencie usłyszałem sciszony głos plu-tonowego: "Panie poruczniku, zmywamy się. Pana buty!" Sekundę wcześniej oprzytomniłem sobie to samo, bo moje - nota bene od jednego z lepszych warszawskich szewców - oficerki mogły istotnie zwracać uwagę.

Bez przeszkód opuściliśmy teren obozu, zaraz zamieniłem swoje bu-

zy na piechocińskie kamasze, które potem długo mi służyły zanim nie spłonęły razem z mieszkaniem. Ruszyliśmy w drogę a ja miałem czas na przeanalizowanie swojego postępowania. Samoocena wypadła negatywnie, bo bez wyższej potrzeby a jedynie z braku zastanowienia naraziłem się na wielkie ryzyko, skoro słuchając politruka, miałem przy sobie swoją FN-kę. Nie ulega wątpliwości, że ujawniony na terenie obozu polski oficer z ukrytą bronią nie dotrwałby nawet do obozu jenieckiego. Z kolei zdałem sobie sprawę, że niefrasobliwość moja miała swe źródło w błędnej, bo rażąco opóźnionej ocenie nowej sytuacji politycznej i nowego wroga. Zbliżony do tego błąd popełniłem ponownie w pierwszych tygodniach PRL-u. Ktoś życzliwy pocieszał mnie, że niekoniecznie musi to oznaczać mierny stopień inteligencji. Mógłbym sięgać po różne usprawiedliwienia, ale poprzestanę na dwóch. Jedno ma charakter ogólny a łączy się z taką właściwością, czy może raczej z defektem, mojej psychiki, że zwlekam z przyjęciem do wiadomości i uznaniem za już istniejące czegoś, co stanowi oczywiste bezprawie. Co się tyczy wspomnianej przygody to moja pasywność mogła wynikać ponadto z nagłego uwolnienia się po czterech tygodniach od takich bezwzględnych dyscyplin, jak czujność, przewidywanie i natychmiastowa reakcja.

Idąc unikaliśmy spotkania z licznymi patrolami wojskowymi a w miarę zbliżania się do Warszawy toniała nasza grupa. Przechodziliśmy w pobliżu Kocka, gdzie dogorywała ^{obrona} otoczona zewsząd grupa "Polesie" pod dowództwem gen. Kleeberga. Żegnając się ze współtowarzyszami przygotowywałem ich, że wkrótce będziemy ponownie powołani; sądzę, że robiłem to jednak raczej na własny użytek. Do stolicy wszedłem z kapralem, starszym już mężczyzną, warszawskim szewcem.

Głęboki ślad, jaki Wrzesień pozostawił w mojej psychice łączy się między innymi z tragiczną konfrontacją postrzeganej rzeczywistości z buńczucznością, zresztą wtedy bardzo nośnych, haseł o "tym guziku, którego nie oddamy". Z drugiej jednak strony umocnił wielu z nas w przekonaniu, że staraliśmy się zrobić wszystko, co było w naszej mocy, aby godnie spełnić żołnierski obowiązek.

Rychło, bo jeszcze w październiku doszło do spotkania kilku nas, oficerów i podchorążych, którzy uchyliłi się od pójścia do niewoli. Wszyscy wstąpiliśmy w charakterze instruktorów wojskowych do Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej /PLAN/. Nie zdążyłem rozwinąć szerszej działalności, bo w wyniku zdrady nastąpiły liczne aresztowania. Bardzo negatywnie i refleksyjnie odebrałem fakt pojawienia się zdrajcy już na samym początku rodzimej konspiracji. Niebawem szczególnie dotkliwie przeżyliśmy klęskę Francji, co oznaczało kolejny dowód niskiej wartości przedwojennych sojuszków Polski.

W ZWZ zaprzysiągł mnie por. "Pawlak" /wkrótce awansował/ Janusz Chyczewski. W tym samym czasie obok innych byłych urzędników Inspekcji Pracy zostałem powiadomiony, że austriacka firma organizuje w Krakowie kurs przygotowawczy do pracy w mającym powstać kasynie gry. "Pawlak" zdecydował, że mam się zgłosić na ten kurs. Po powrocie z Krakowa objąłem dowództwo kompanii w Obwodzie Ochota. Historyk naszej dzielnicy J. Wroniszewski nazywa mój pododdział zgrupowaniem, myślę jednak, że zrobił to na wyrost, bo powołany przez niego trzeci pluton był bardzo mały. Dowódcą mojego, 3-go rejonu i moim bezpośrednim przełożonym był rodzony brat "Pawlaka", por. Andrzej Chyczewski "Gustaw".

W rejonie naszym toczyło się właściwie życie garnizonowe: instruktaż, najprostsze szkolenie, rozdawnictwo prasy. Czasem udawało się pozyskać jakąś sztukę broni lub amunicję. Bardziej wyraziste były przygotowywanie ataku na szczególnie ufortyfikowany obiekt, jakim były koszary SS na Tarczyńskiej. Ćwiczenia umożliwiały nam niektórym mieszkańcy naprzeciw leżących domów.

Moje dowodzenie kompanią było w znacznym stopniu ograniczone, bo ze względu na wymagania konspiracji nie miałem dostępu do całego stanu osobowego, jak na przykład we Wrześniu. Skuteczność dowodzenia wymaga, aby rozkazodawstwu towarzyszył mechanizm kontroli. Wbrew temu ja często miałem trudności z potwierdzeniem meldunków dowódców plutonów, że konkretny mój rozkaz istotnie dotarł-i we właściwym czasie-tam,

dokąd powinien być dotrzeć. Wątpliwości moje dotyczyły zwłaszcza jednego z dowódców plutonu.

Zgodnie z wiadomą, odgórną decyzją włączyłem się obok funkcji liniowej w inną działalność konspiracyjną, która z uwagi na jej nietypowość nawet mnie zainteresowała. Przez półtora roku wspólnie z dwoma podkomendnymi prowadziłem mianowicie wywiad z austriackiego kasyna gry w Warszawie. Przypominało to trochę działalność zwiadu artyleryjskiego, który rozpoznaje teren i zachowywanie się ludzi. Pracowaliśmy w charakterze krupierów, ja po roku zostałem szefem stołu /chef de table/. Wśród pracowników przeważali dawni urzędnicy państwowi ale nie brakowało przedstawicieli różnych innych zawodów. Uważali widocznie tę pracę za dopuszczalną formę zapobiegania wywiezieniu na roboty przymusowe. Pamiętam, ułatwiłem przyjęcie do pracy o charakterze fizycznym jednego ze znanych radiowców, z którym jako współpracownik Polskiego Radia spotykałem się przed wojną. Nie zawarowałem go na razie i dobrze się stało, bo okazał się alkoholikiem i wkrótce z tego powodu został zwolniony.

Materiały przekazywałem oficerowi wywiadu "Doktorowi" i od niego otrzymywałem sugestie. Obiekt kasyna był interesujący i prawdopodobnie penetrowany również przez innych z powodu jego lokalizacji w pobliżu Gestapo. Sporządziliśmy szkice pomieszczeń i otoczenia. Przed wojną mieściło się tutaj Kasyno Oficerskie, kiedyś nawet byłem w nim na balu. Znacznym ułatwieniem dla mnie w zbieraniu informacji i w miarę swobodnym poruszaniu się po terenie kasyna stała w pewnym momencie komitywa pomiędzy mną a wicedyrektorem i inspektorem. Byli to pierwsi, choć nie jedyni Austriacy w tamtym okresie, których dobrze wspominam. Ci dwaj stosunkowo szybko ujawnili wobec mnie swoje antyhitlerowskie nastawienie i w ten sposób obydwie strony skutecznie posłużyły się posiadany darem intuicji. Aluzja inspektora na temat jednego z krupierów sprawiła, że zdemaskowaliśmy w nim agenta Gestapo. Był to z pochodzenia Ukraińiec, nazwiskiem Wiktorowicz. Gdy był w pracy, znaleźliśmy w jego cywilnej marynarce komplet dowodów, bo pistolet, pozwolenie na broń, legitymację policyjną i kartę wstępu do sklepu dla Niemców.

Jeśli idzie o stałych bywalców kasyna, to znajdowali się wśród nich różnej rangi i płci przedstawiciele społeczeństwa, między innymi zaś również kilkoro, bo były dwie niewiasty, stołecznych adwokatów. Niektórzy z nich, kiedy połem spotkaliśmy się na terenie sądu, byli njeo speszeni, jednakże niepotrzebnie, bo przekonali się o zawodności mojej pamięci. A hazard to rzeczywiście potęga. Zadaniem naszym było między innymi ujawnianie i ustalanie tożsamości graczy, którzy dysponowali znacznymi sumami lub dużo przegrywali, stanowili bowiem element podatny na naciski i pokusy ze strony Gestapo.

Istniała też pewna kategoria bywalców okazjonalnych, to jest takich, którzy przychodzili na krótko i wyłącznie dla nocnej przepustki, zabezpieczając się w ten sposób przed konsekwencjami przekroczenia godziny policyjnej. Sposób ten poleciłem wielu osobom. Ja miałem stałą przepustkę nocną, która w ogóle stanowiła dobry dokument. Oczywiście nie zdałem jej odchodząc z kasyna i kiedyś uratowała mnie z opresji w czasie dużej łapanki ulicznej. Co więcej, miałem wtedy przy sobie kilka paczek amunicji karabinowej, bo wspólnie z dowódcą zostaliśmy nimi obdarowani przez kolejarzy, którzy właśnie okradli wagon z transportu idącego na front. Zerwałem bezpośredni kontakt z kasynem, bo według moich Autriaków, zaczęto zwracać na mnie uwagę.

W maju 1944-go roku kompania poniosła wielką stratę, gdyż zostali aresztowani najbliżsi moi współpracownicy: szef kompanii "Pepek" i łącznik "Miki". "Pepek" trafił do Oświęcimia. Zapadła decyzja, że ja i dowódca 2-go plutonu na pewien czas opuszczamy Warszawę. Dostałem nową Kennkartę i skierowanie do Zamojskiego Inspektoratu AK, na punkt kontaktowy w majątku hr. Tarnowskiego. Dzisiaj nie jestem tego zbyt pewien, ale w grę wchodzi chyba Suchowola.

wola. Obraz tego majątku zachowałem w pamięci ze względu na jego swowistość egzotyki. Dominujący akcent architektoniczny jak również funkcjonalny stanowiła pracująca pełną parą gorzelnia. Kiedy komin był zimny, hrabia demonstrował licznie zebranym widzom swoją wysoką sprawność fizyczną, wdrapując się na sam wierzchołek. Przed przystąpieniem do wspinaczki zdejmował pas oficerski wraz z pistoletem, albowiem obydwójce małżonkowie, mając od Niemców oficjalne zezwolenie na broń, stale nosili ją przy boku. Podstawowy produkt gorzelnicy cieszył się szerokim uznaniem, w związku z czym zgłaszali się po niego w ściśle przestrzeganej i bezkolizyjnej kolejności: w południe niemieccy żandarmi, pod wieczór partyzantka akowska a w nocy oddziały bliżej nieokreślone i partyzanci radzieccy.

Wkrótce przybył do majątku oddział partyzancki, który miał się między innymi także zająć mną. Nazwy oddziału nie pamiętam, mianował się kawaleryjskim, jakkolwiek miał tylko dwa konie i tyleż siodeł na wozie. Nie zostałem formalnie do niego wcielony i pozostawałem jak gdyby na prawach gościa, jednakże wzięłem czynny udział w dwóch akcjach na hitlerowskie transporty. W drugiej z tych akcji ^{zginął} jeden żołnierz, którego pochowaliśmy, jak w wolnej Rzeczypospolitej Zamojskiej. Jawnie, około południa i przy dźwiękach dzwonu kościelnego wraz z sygnaturką szedł przez wieś kondukt żałobny, w nim czwórkami partyzanci, na miejscowy cmentarz. Nad grobem zgodnie z ceremoniałem wojskowym rozległy się salwy.

Obydwie akcje były przeprowadzone wspólnie z partyzantką radziecką. Oni zapewniali obsługę minerską, łącznie z materiałami wybuchowymi, wspólnym zadaniem było zniszczenie załogi. Rosjanie zgłaszali się do nas o świcie, pełni werwy i krzykliwi a wśród nich wyróżniający się szczególnym temperamentem Alosza. Chętnie rozmawiałem z nim - żadnym Aloszą, tylko polskim Żydem - bo zaimponował mi, jako ocalały i zwycięski uczestnik buntu żydowskich więźniów w Sobiborze. Przez sierżanta szefa byliśmy częstowani musztardówką okowity, która nam często zastępowała posiłek aż do późnego obiadu, poczem udawaliśmy się na akcję, symbolizującą solidarną postawę wobec wspólnego wroga. Niebawem przekonaliśmy się, że było to możliwe tylko wtedy i na najniższych szczeblach wykonawstwa oraz dowodzenia. Sojusznicza armia radziecka okryła się bowiem niezmywalną hańbą, kiedy zgodnie z poleceniami aparatu politycznego i Smiersza podstępnie rozbrajała, internowała i represjonowała tych żołnierzy AK, którzy do ostatniej chwili brali udział i przelewali krew we wspólnych operacjach.

Zachowałem w pamięci ^{częściowo} negatywny obraz dowódcy oddziału, bo kiedyś przypadkowo usłyszałem fragment jego rozmowy z sierżantem, z której wynikało, że minionej nocy ~~został~~ został zastrzelony sekretarz PPR w sąsiedniej wiosce. Wykorzystując to, że mimo krótkotrwałej znajomości już wytworzyła się pomiędzy nami pewna zażyłość, zaryzykowałem zapytanie sierżanta o rzeczywisty powód zastrzelenia tego człowieka. Pytanie po prostu zdziwiło go, bo przecież "był to sekretarz". A więc nie za kolaborację z Niemcami, ani konkretnie określoną działalność na szkodę ludności. Mógł co najwyżej podjąć współpracę z tymi samymi partyzantami, z którymi wysadzaliśmy transporty. On dostał kulę z powodu swej lewicowości, nie aprobowanej przez dowódcę oddziału. Oficer ten włączył się sprawczo w złowrogi, będący przekleństwem tamtych czasów ciąg przyczyn i skutków, bo na przykład synowie lub członkowie rodzin podobnie zlikwidowanych PPR-owców trafili potem do UB lub MO. Mogli tam, znajdując rozgrzeszenie dla siebie, dawać w inny bezprawny sposób upust swojej mściwości.

Zaufanie do mnie ze strony sierżanta zaszło tak daleko, że wyznał mi, jakoby ja też miałem być "kropnięty", gdybym nie wzbudził dostatecznego zaufania. Rzeczywiście było tak, że dowódca kilkakrotnie skłonił mnie do wspólnego spaceru po lesie i wtedy szczegółowo wypytywał o przeróżne sprawy. Rzecz oczywista, w interesie bezpieczeństwa oddziału powinien zachować jak najdalej posuniętą ostrożność, jednakże nie wykluczam, że nadto częste sięganie po broń przez bardzo młodego człowieka mogło już ukształtować u niego coś w rodzaju niekontrolowanego odruchu.

Mniej więcej po trzech tygodniach wspólnej wędrówki z oddziałem znalazłem się w Olszewnicy koło Radzyna Podlaskiego, gdzie formalnie miałem być leśniczym lasów prywatnych a faktycznie łącznikiem pomiędzy dowódcą rejonu "Zbyszkim" i partyzantką. Starszy gajowy "Michał" otrzymał służbowe zadanie przyuczania leśniczego, który ledwie rozróżniał podstawowe gatunki drzew, do zawodu oraz zapobieganie popełnianiu przez niego większych gaff. Na dzień swoich imienin, 20-go lipca pojechałem do Warszawy, konspiracyjnie spotkałem się z żoną, a dowiedziawszy się, że "Pepek" ani "Miki" nikogo nie obciążyli, postanowiłem pojechać do Olszewnicy po pozostawione tam rzeczy osobiste. Szybki manewr armii radzieckiej uniemożliwił mi to.

Dowództwa kompanii jeszcze formalnie nie przejąłem, zwłaszcza, że rozchorowałem się z powodu jakiegoś ostrego zatrucia, ale dowódcy rejonu zameldowałem swój powrót. Zaalarmowany przed godziną "W", dotarłem z wielkim trudem na wyznaczony punkt zborny na ulicy Barskiej, i uzbrojony w pistolet 6,35 mm oraz dwie sidolówki objąłem dowództwo kompanii. Przedstawiała ona żałośnie niski stan osobowy, bez dowódcy 11-go plutonu i jego ludzi z PKO. Z opracowań historycznych wynika, że Niemcom udało się odciąć dostęp do naszej dzielnicy. Właściwie jennym uzbrojeniem moich ludzi, podobnie jak w sąsiedniej kompanii były sidolówki. Gdy idzie o ten podstawowy brak, kompetentni komentatorzy upatrują winę w niefortunnym połączeniu w jednej osobie funkcji dowódcy rejonu i oficera broni. Dowódca a zarazem mój przyjaciel, por. "Gustaw" zapisał wkrótce piękną, godną pozazdroszczenia kartę życiorysu. Nazajutrz po rozbiciu nas natrafił na z niezrozumiałych powodów porzoczony samochód niemiecki z bronią i amunicją. Sformował doskonalie uzbrojony oddział i szachował hitlerowców do 11-go sierpnia, poczem ewakuował się do lasów chojnowskich. Przyszedł stamtąd wraz ze swoimi ludźmi na Mokotów. Poinformowany przez kogoś, że poległem na Placu Narutowicza, odwiedził moją żonę i sprawił, że nasz dwuletni syn dostał furazerkę, opaskę i uprawnienie do codziennego posiłku z kuchni polowej.

Nasza próba dotarcia na pozycję wyjściową do przygotowywanego przez wiele miesięcy ataku na bez mała twierdzę, jaką były koszary SS na Tarczyńskiej, została na wstępie udaremniiona. Dzisiaj może się to komuś wydać nawet zabawne, ale ja nadal odczuwam żal z tego powodu, że nie miałem w ręku zapowiadanego przez oficera broni pistoletu maszynowego, kiedy na samym początku akcji natknąłem się na trzyosobowy patrol motocyklowy Schutzpolizei. Byli zdeorientowani, przestraszeni i nie podjęli walki mimo, że oddałem w ich kierunku kilka strzałów z mojego pistolecika. Któryś z pocisków zadzwonił na żandarmskim hełmie a oni natychmiast odjechali. Na pewno nie jest to tylko wytworem mojej fantazji, kiedy twierdzę, że mając wtedy peem i wykorzystując zaskoczenie Niemców mogliśmy zdobyć trzy "szmajsery" i tyleż pistoletów. W pewien czas później uratowała mnie sidolówka, kiedy znalazłem się w ciasnym przejściu, ścigany przez żandarma prażącego ze "szmajsera". Nie wiem, czy został zraniony, czy tylko się przestraszył, bo pogoni zań niechał. Gdy przebiegaliśmy przez otwarty dla nas garaż zostałem zatrzymany przez mężczyznę, opartego na kuli, który oświadczył, że jest oficerem, ale nie ~~jest~~ może walczyć z powodu kalectwa i wobec tego oddaje mi swojego visa. Z radością przyjąłem piękną, świetnie zakonserwowaną sztukę broni, jednakże już nie zdążyłem zrobić z niej użytku, bo opadłem z sił i nie mogłem dogonić swojej grupy. Schroniłem się w rozległej piwnicy, w której już było kilka osób obojga płci.

W obliczu klęski, jaką na wstępie poniósł nasz obwód postanowiłem przedostać się do Śródmieścia. Gdy dochodziłem do ulicy Oczuki, usłyszałem krótką serię z broni maszynowej i odczułem uderzenie w prawe ramię, poczem zacząłem silnie krwawić. Wbiegłem na korytarz Szpitala Dzieciątka Jezus i natychmiast zajęto się mną. Miałem dwa postrzały, jeden całkowicie powierzchowny, za to drugi, prawdopodobnie od rozrywającego się pocisku, bardzo rozległy i grożący natychmiastowym wykrawaniem się. W porównaniu z okrutnie okaleczonymi, którzy, jeśli w ogóle uda się ich uratować, pozostaną kalekami na resztę życia, swoje obrażenia określałem jako kosmetyczne.

Z pobytu w tym szpitalu wyniosłem uczucia najwyższego uznania i szacunku dla zatrudnionych tam lekarzy i całego personelu pomocniczego. Niestrudzeni, ofiarnością swoją i życzliwością starali się łagodzić skutki narastającego braku leków i wszelkiego innego zaopatrzenia. To samo uczucie wdzięczności łączy się z naszymi wspaniałymi dziewczynami, które w roli sanitariuszek najtroskliwiej opiekowały się nami, nie odczuwając zmęczenia ani braku snu, zawsze gotowe do pospieszenia z pomocą ludziom cierpiącym i często niezdolnym do samodzielnie wykonywania najprostszyc czynności życiowych. Wiele z nich było również ze służbowego przydziału łączniczkami. Inne łączniczki przychodziły do nas z zewnątrz. Zmęczone, umorusane, niekiedy wprost spod ostrzału. Widocznie szpital stanowił dla nich bezpieczny etap na zaplanowanej trasie. Opowiadały nam o swoich przygodach i ofiarach, jakie w swej żołnierskiej służbie ponoszą. Biorąc później udział w kwestowaniu na budowę, tak po naszymu zwalczanego i wykpiwanego pomnika Powstania Warszawskiego, wielokrotnie myślałem o tym, że jest naszą powinnością wzniesienie tak pięknego, jakie właśnie one były, pomnika Powstańczej Dziewczyny.

Sala szpitalna, wypełniona dziesiątkami beznadziejnie okaleczonych ciał i mdlącym zapachem ropy, nad którą kłębią się roje much to szczególnie punkt obserwacyjny a zarazem szczególne forum dla dokonywania ocen. Te zaś były z reguły wobec najwyższych powstańczych dowódców krytyczne, czasem nawet bezlitosne. Przypominałem sobie te na gorąco formułowane sądy, zapoznając się kłębno z opiniami takich patriotów i kompetentnych polityków, jak Jerzy Giedroyc czy Władysław Anders. Nie mówiąc o wybitnych Polakach w kraju - Kisielewskim, Kutzu i wielu innych ze świata polityki, nauki, kultury.

Pewnego dnia, dosłownie zajrzała mi śmierć w oczy i to najbardziej bezsensowna. Leżałem wtedy na korytarzu, na który w pewnym momencie weszło z ulicy dwóch wyraźnie pijanych własowców. Podeszli do mnie i jeden z nich zapytał po rosyjsku: "ranny czy chory". Odpowiedziałem oczywiście, że chory, czemu jednak wyraźnie przeczyła ręka na szynie. Wrzasnął, że łzę, wyszarpnął bagnet z pochwy i wykonał zamach poprzedzający zadanie ciosu. I w tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk stojącej w drzwiach pokoju, który przylegał do korytarza, siostry szpitalnej, która jednocześnie zatrzęsnęła drzwi. Sprawili to, że drugi własowiec, być może mniej pijany, błyskawicznie chwycił kolegę za rękę z bagnetem i zawołał, aby zostawił "swołocz Polaczka", co odniosło skutek. Potoczyli się w stronę głównej sali a wtedy w jej drzwiach pojawiła się dziewczyna, która często opiekowała się mną. Chwycili ją za ręce i wepchnęli przed sobą do sali. Łatwo było domyślić się, że z zamiarem wyprowadzenia jej na szpitalne podwórze. I wówczas, jak w scenariuszu sensacyjnego filmu, od strony ulicy weszli energicznym krokiem, w koszulach z zawiniętymi rękawami i ze "szmajserami" przewieszonymi przez piersi, dwaj niemieccy żołnierze. I coś w rodzaju olśnienia! Oto natychmiast rozpoznałem w nich Austriaków z kompanii, która niedawno zdobywała Politechnikę. Po powrocie z akcji niekiedy odwiedzali nas, częstowali papierosami i jako rannych i chorych traktowali życzliwie.

Oberleutnant dowodzący nimi powiedział mi kiedyś, że łamie się wewnętrznie, dając rozkaz atakowania bohaterskich chłopców, uzbrojonych w damskie pistoleciki. Teraz więc wykrzychałem podoficerom, co się stało. Szybko udali się we wskazanym im kierunku, za chwilę poprzez nie domknięte drzwi sali szpitalnej dobiegł mnie odgłos dwóch krótkich serii z peemu i w drzwiach ukazała się moja opiekunka wraz ze swoimi wybawcami. Miała naderwaną u góry sukienkę i duży siniac na twarzy. Jeden z podoficerów powiedział, że Rosjanie przepraszają, ale nie mogą przyjść. Kiedy serdecznie dziękowałem im, usłyszałem w odpowiedzi, że co innego żołnierska walka, a co innego bandytyzm. Myślę, że usunięcie zwłok obydwu rezunów z terenu szpitala nie nastąpiło specjalnych kłopotów.

Po ustaniu walk w tym rejonie Srodmieścia została zarządzona ewakuacja szpitala, którą kierowała SD. Warty utrwalenia na filmie obraz okrucieństwa przedstawiała kolumna kalek, kiedy bezręki holował

okulałego a całkowicie pozbawieni sił musieli stawać co kilka kroków, narażając się na lżenie, popychanie i bicie. Trasa prowadziła do Dworca Zachodniego. Po drodze zostaliśmy ostrzelani od strony Filtrów, padło kilka osób.

W Milanówku zostaliśmy umieszczeni w przystosowanej na ten cel dużej willi. Całością kierowała tryskająca energią, korpulentna dr Kiełbasińska. Wspominam o niej, bo daremnie próbowaliśmy dociec, kim była ona w rzeczywistości, skoro poważyla się publicznie besztać oficerów SS i Wehrmachtu, kiedy dwukrotnie, wyraźnie kogoś lub czegoś szukając, przeprowadzali nazewnątrz willi apele wszystkich pacjentów. Pochodziła podobno z Poznania.

Po odjęciu mi szyny opuściłem szpital i rozpocząłem poszukiwanie rodziny. Szczęśliwie udało się to i wszyscy zamieszkaliśmy u rodziny żony na granicy z Reichem. Stamtąd, za opłatą w postaci trzech litrów samogonu, nie bacząc na niesłabnącą aktywność Luftwaffe, radzieckim pociągiem amunicyjnym dojechaliśmy do Łodzi. Aby, jak wielu innych rozpocząć tutaj nowe życie, dosłownie od zera.

Do wojska zgłosiłem się z obowiązku ale zarazem w pewnym sensie ochotniczo, bo po dwóch gorzkich klęskach stanowiło one dla mnie realną siłę, odnoszącą widome sukcesy. Spodziewałem się, że zostanę przeszkolony na nowym dla mnie sprzęcie, poczem przydzielony do jednostki artyleryjskiej. Nie nękał mnie, jak niektórych, również problem orzełka na czapce, bo noszony przez nas w Strzelcu był podobnie bez korony. Trwały jednak polowania na prawników, wyciągano ich ze służb i jednostek, więc nawet nie podjęto ze mną dyskusji. Z kolei mój teść, doświadczony prawnik przedwojenny, w czasie okupacji członek sądu specjalnego, nie dopatrywał się w tym przydziale czegoś szczególnie niepokojącego, wspominając, że przed wojenni oficerowie korpusu sądowego, zwani audytorami, cieszyli się znakomitą opinią, stanowiąc wojskową elitę.

Skierowany 5.II.1945-go roku do Prokuratury Łódzkiego Okręgu Wojskowego, poinformowałem jej szefa, że nie posiadam jakichkolwiek kwalifikacji prokuratorskich a nawet nie mam ukończonych studiów prawniczych i nie posiadam dyplomu. Wszystko to okazało się bez znaczenia, zostałem mianowany oficerem śledczym.

Zaraz na wstępie popełniłem poważny błąd, bo sporządzając życiorys i wypełniając szczegółową ankietę personalną zataiłem swoją konspiracyjną przynależność. Musiał wtedy u mnie zadziałać jakiś, jeśli sięgnąć po właściwą terminologię, prymitywny odruch obronny. Mimo przeciwwskazań konspiracji byłem jednak znany pewnemu gronu osób, co potem trudno ukryć, zważywszy, że przebywało w Łodzi wielu warszawskich rozbitków. Łatwiej już byłoby pominięcie powiązania z wywiadem, bo tutaj wchodziło w grę zaledwie kilka osób. Choćby częściowym wytłumaczeniem może być to, że w lutym 1945-go roku, a nawet jeszcze nieco później nie w pełni zdawałem sobie sprawę z przebiegłości i profesjonalizmu służb specjalnych sojusznika oraz pojętności jego polskich uczniów.

Rychło mogłem się upewnić o popełnieniu błędu. Mianowicie szef zlecił mi kiedyś załatwienie sprawy urzędowej w istniejącym jeszcze wtedy Zarządzie Sądownictwa Wojskowego, mieszczącym się we Włochach koło Warszawy. W jednym z pomieszczeń zobaczyłem majora, w którym rozpoznałem znajomego z okresu okupacji, Czesława Mankiewicza. Człowiek ten pracował w penetrowanym przeze mnie kasynie gry. Zdarzało się tak, że często z nocnych dyżurów wracaliśmy pieszo na Mokotów. Wiele rozmawialiśmy wtedy, po pewnym czasie wytworzyła się zrozumiała w takich warunkach zażyłość, a nawet zaufanie. Chyba to od niego dowiedziałem się, że jest Żydem. W pewnym momencie pomyślałem, aby go zawerбовать i przydzielić do mojej komórki, zwłaszcza, że już miałem zakończyć swoją działalność. Mankiewicz odmówił, dając jednak do zrozumienia, że jest już gdzieś zaangażowany. Nie zdawał sobie wtedy sprawy z tego, że mimo swojej odmowy był już ryzykiem osobistym związany ze mną, jako że często miałem ukrytą pod bielizną prasę, którą po południu przynosił mi do kasyna łącznik "Miki". Mankiewicz musiał być związany

z AL lub GL, bo zrobił potem niebywałą i zastanawiająco szybką karierę wojskową. Doszedł mianowicie do stopnia generała dywizji i został dowódcą wojsk OPK. Następnie podzielił jednak los swojego protektora - Mariana Spychalskiego i znalazł się w więzieniu.

Kiedy spotkaliśmy się wtedy we Włochach, mjr Mankiewicz przyjechał tam z gen. Spychalskim jako jego adiutant. Zobaczywszy mnie, przywitał się i nawiązał krótką rozmowę, jednakże wyraźnie odczułem, że nie zadawniony sentyment a jedynie chęć upewnienia się co do mojej tożsamości była istotną przyczyną tego gestu. ~~Spotkanie~~ to uznałem za fatalne. Służba Sprawiedliwości znajdowała się w pionie organizacyjnym Spychalskiego ale niezależnie od wszystkiego na Mankiewiczuz musiał ciążyć zarówno służbowy, jak i partyjny obowiązek powiadomienia, skoro zobaczył mnie w mundurze, odpowiednich organów o tym, co robiłem w czasie okupacji. Nie miałem więc wątpliwości, że w ten oto sposób ustawiłem się zaraz na początku służby wojskowej w pozycji, którą możnaby nazwać równowagą chwiejną.

Szefem prokuratury był Polak z Rosji mjr Łucewicz. Na pozór spokojny, poczciwy pijaczyna, o których to jego skłonnościach wyraźnie świadczyło charakterystyczne ~~opóźnienie~~ policzków. Przy okazji trzeba stwierdzić, że alkohol lał się wtedy strumieniami. Rozbitkowie z Warszawy i innych stron Polski, zajętych przez Niemców odreagowywali w ten sposób okres okupacji, teraz zaś nowym impulsem stało się uczucie niepewności, związane z tym, co było przed nami. Szczególną aktywnością wyróżniali się Rosjanie i przybyli z Rosji Polacy. Dowiedzieliśmy się później, jakoby Łucewicz po odwołaniu go do ZSRR został skazany za szaber w Polsce.

Rzecznikiem fachowości - a zarazem umiaru politycznego - był zastępca Łucewicza, wiceprokurator mjr Broniewicz. Przedwojenny audytor, znacznie starszy ode mnie wiekiem, miły, kulturalny pan. Pochodził z Wileńszczyzny. Będąc człowiekiem w pełni pozytywnym i mnie życzliwym, zadziałał jednak również na moją niekorzyść, bo samą swoją obecnością i to na poniekąd kierowniczym stanowisku ~~—~~ w służbie sprawiedliwości uwiarogodniał ją w moich oczach. Jednocześnie znacznie opóźnił w ten sposób wytworzenie się mojej nieufności i krytycyzmu.

Od mjr. Broniewicza otrzymywałem podstawowe wskazówki fachowe i zgodził się on ze mną, że muszę pracę zaczynać od podstawowych, najprostszych spraw. Zarazem zwrócił uwagę szefa na to, że ja posiadam obycie wojskowe w odróżnieniu od licznych swoich kolegów, którzy pewnego dnia poprzebierali się w swoich kancelariach adwokackich w oficerskie mundury. W ten sposób uległo wydatnemu ograniczeniu moje powiązanie ze śledztwem i salą sądową, natomiast wkrótce, po pierwszych udanych próbach mjr Łucewicz wyznaczył mnie na stałe do sprawowania tzw. nadzoru prokuratorskiego. Polegał on na kontrolowaniu, znajdujących się na terenie Łódzkiego Okręgu Wojskowego jednostek liniowych oraz instytucji wojskowych, pod kątem widzenia ogólnej dyscypliny oraz prawidłowości funkcjonowania poszczególnych służb, zwłaszcza zaś kwatermistrzowskiej. Na pewno, bo ustaliła się taka opinia, nie jeden z kwatermistrzów, którymi z reguły byli obwieszani medalami pułkownicy radzieccy, życzył ~~mi~~ niskiej rangi kapitanowi, połamania nóg, bo niemal zawsze ujawniałem i opisywałem jakieś istotne uchybienia.

Dodatkowym moim zadaniem stała się kontrola zakładów karnych. Zdażyłem w czasie do grudnia 1945-go roku sprawdzić pod względem formalnym kilką więzień. W jednym z nich, było to chyba w Sieradzu, wykryłem i nakazałem natychmiastowe zwolnienie 24-ch więźniów, "klasa wo" dobranych przedstawicieli okolicznej inteligencji. Jedyną postawę osadzenia i przetrzymywania ich w więzieniu stanowiła sporządzona cyrylicą na kratkowanej, niedbale z zeszytu wyrwanej kartce, notatka jakiegoś funkcjonariusza, nawet nie UB, lecz NKWD.

Praca w nadzorze bardzo mi odpowiadała a zarazem spotkała się z uznaniem ze strony przełożonych, co sprawiło między innymi, że rychło zostałem awansowany do stopnia majora. Jednakże, zgodnie z potocznym przekonaniem, że nadmierna gorliwość nie popłaca, stało się tak, że moja energia, umiejętność poruszania się w wojsku i okazana spraw-

ność działania praktycznie obróciły się przeciwko mnie. Mianowicie zwróciły na mnie uwagę Warszawy i stały się przesłanką wytypowania na stanowisko szefa mającej powstać w Łodzi prokuratury rejonowej. Przed rozpoczęciem tej pracy pozostawałem przez okres około trzech miesięcy w dyspozycji Ministerstwa Sprawiedliwości, delegację tę omówię osobno po sprawdzeniu pewnych okoliczności.

Mianowanie na stanowisko szefa prokuratury, i to w dodatku rejonowej stanowiło dla mnie oczywiście zaskoczenie i w ogóle było niezrozumiałe. Oto dalece niedouczonego prawnika, jakim niewątpliwie byłem, stał się przełożonym, przynajmniej kilku doświadczonych fachowców a wśród nich takiego swojego zastępcy, który powinien być jedynie jego mentorem. Wszystkich podwładnych miałem ewentualnie pouczać, w razie potrzeby aurytatywnie rozstrzygać ich wątpliwości prawne. Z kolei uczyniono moim zadaniem służbowym poniekąd nadzorowanie, a może nawet dyscyplinowanie, przestrzegania praworządności przez takiego właśnie szefa WUBP, jakim był w Łodzi płk Mieczysław Moczar, "legenda Armii Ludowej",

Uczuciu zaskoczenia towarzyszył zupełnie oczywisty niepokój. Została mi powierzona władza, którą musiałem sprawować zgodnie z wymaganiami służbowego podporządkowania, z drugiej strony zaś czułem brzemień odpowiedzialności wobec tych, którzy mogli być pokrzywdzeni lub już nimi byli. Lawirowanie pomiędzy tymi dwoma koniecznościami było równie trudne, jak i niebezpieczne.

Moja wiedza prawnicza w tamtym okresie opierała się na doraźnie odczytywanych fragmentach przepisów, co w równym stopniu potrafił osiągnąć każdy ich chwilowy posiadacz. Przystępując do pracy w prokuraturze nie miałem nawet dyplomu, ale również z tym dokumentem w dłoni nie mogłem się wykazać odpowiednim zasobem szeroko pojętej wiedzy prawniczej. Moje studia były całkowicie powierzchowne, bo - co mogłoby zdziwić dzisiejszych studentów - poza pierwszym rokiem w ogóle nie chodziłem na wykłady i mobilizowałem się dopiero na dwa tygodnie przed egzaminami. Przyczyną tego stanu rzeczy nie było lenistwo, lecz tylko to, że rozpocząłem już pracę jako urzędnik państwowy a prócz tego nawiązałem współpracę autorską z Polskim Radiem i prasą. Jednego z końcowych egzaminów, z procedury cywilnej nie zdołałem zdać z powodu mobilizacji.

Prawnik zaledwie z dyplomem jest półfabrykatem, wymagającym fachowej i solidnej obróbki. Dopiero w wyniku odbytych praktyk i aplikacji oraz uzupełniających lektur zdobywa on całą niezbędną wiedzę pozakodeksową. Powinna ona dotyczyć między innymi podstawowych, sięgających klasyki zasad prawa, etosu tej profesji, usytuowania oraz wzajemnego uzależnienia poszczególnych członów wymiaru sprawiedliwości. Brak takiego pełnego przygotowania może się stać przyczyną poważnych nawet błędów. Zachodzi tutaj pewne podobieństwo do sytuacji chirurga, który bez jednego nawet dnia uprzedniej praktyki miałby przystąpić do odpowiedzialnej operacji.

Dzisiaj nie ulęga wątpliwości, że sięganie po niedouczonego prawnika lub ich tolerowanie było ściśle zamierzone. Takim pseudofachowcem łatwiej sterować i narzucać mu stosowne interpretacje przepisów. Dopiero w Departamencie sięgnąłem między innymi do miarodajnych opracowań odnośnie problemu działania na rozkaz, do tego czasu jedynym kryterium ewentualnej mojej odmowy wykonania rozkazu byłaby jego czywista bezprawność. Problem jest jednak bardziej złożony, łączą się z nim różne niuanse a do ich nierozróżniania i błędnej oceny mogło się przyczynić to, co ogólnie uważane jest w wojsku za cnotę, mianowicie poczucie dyscypliny.

Zastępcą moim, który zresztą przez pewien czas samodzielnie organizował prokuraturę, był mjr Gabryel Henner. Starszy ode mnie wiekiem o osiem lat, znacznie wcześniejszy major, co najważniejsze zaś - doktor praw. Partyjność swoją harmonijnie łączył z religijnością, bo żołnierze widywali go w domu, odzianego w czarną sutannę z wielkim drewnianym krzyżem na piersi. Jego syn był kapitanem Informacji, także w Łodzi. Powierzchowność miał Henner rzeczywiście bardzo semicką.

Po pewnym okresie dezorientacji pojąłem więc, że nowo powstałej prokuraturze jestem potrzebny bynajmniej nie względu na kwalifikacje zawodowe, bo te znakomicie prezentował mój zastępca, ani nie z powodu współmiernie mocnej w stosunku do Moczara pozycji politycznej, lecz - mówiąc brutalnie - jako dobrze prezentujący się goj i w miarę sprawny administrator. Dziwaczny układ hierarchiczny w prokuraturze zapowiadał konflikty, co się oczywiście sprawdziło, ale również nadzieję na krótkotrwałość mojego szefowania. Pozostał jedynie problem godny rozważenia, jakim moim kosztem to się stanie.

Wyhodząc rzeczywistości na przeciw powierzyłem mojemu zastępcy całokształt spraw związanych ze śledztwem, obsługą sądu i nadzorem nad aresztami UB. Wyjątkowo tylko, zwłaszcza pod jego nieobecność podejmowałem w tym zakresie jakieś decyzje. Natomiast wyłącznie ja przyjmowałem adwokatów i wszelkich innych interesantów, zgłaszających się ze swoimi problemami. Muszę uczciwie stwierdzić, że ilekroć w związku ze skargami na jego ludzi zwracałem się do Moczara, przeważnie odnosiło to skutek. W pewnym szczególnie drastycznym przypadku szef PUBP bezprawnie aresztował a następnie ograbił lekarza. Było to chyba w Pabianicach. W wyniku mojej interwencji sprawca tego bezprawia znalazł się w areszcie. Robił to potężny Moczar z przekonania, czy tylko na pokaz, trudno mi było ocenić. Z kolei mogło to wynikać z ówczesnych uwarunkowań politycznych, był to bowiem dopiero rok 1946-y.

Zabiegając o poprawę nie najlepszej sytuacji materialnej mojego personelu, zwłaszcza cywilnego, uzyskałem dwukrotnie od zjednoczenia przemysłu tekstylnego przydział różnych materiałów, dzieląc je potem w równych częściach. Ta moja akcja odbiła się swoistym echem, kiedy już byłem w Warszawie.

Niechętny stosunek do narzuconego mi stanowiska oraz stanowcze przekonanie o jego tymczasowości spowodowały charakterystyczną i raczej dotąd przeze mnie nie doświadczaną wybiórczość a zarazem płytkość mojego postrzegania w stosunku do niektórych wydarzeń i ludzi. Zanotowałem i przechowałem w pamięci jedynie fakty o szczególnym znaczeniu a co do ludzi to raczej tych, którzy mi się narazili. I tak na przykład zupełnie nie pamiętam, gdzie w Łodzi mieściła się moja prokuratura, jak wyglądało samo biuro. Spośród podległych mi oficerów przypominałem sobie tylko dwa nazwiska i to dla tego, że później spotkaliśmy się gdzieś. Nie wiem, jak się nazywał oficer, z którym przecież bardzo często miałem do czynienia, mianowicie kierownik sekretariatu. Prócz mojego zastępcy zapamiętałem natomiast kpt. Aspisa. Przyszedł do mnie z jakiejś prokuratury dywizyjnej z opinią oficera leniwego i kontrowersyjnego. U mnie szybko zaprezentował się również jako arogant. Przy swej wysokiej inteligencji i koneksjach partyjnych niewątpliwie zorientował się w umowności mojego mianowania, jednakże ze swoją niesubordynacją źle trafił, bo szybko i ostro przywołałem go do porządku. Od tego momentu zdawałem sobie sprawę, że będę w nim miał wroga. Wkrótce doszło do sojuszu pomiędzy nim a zawistnym wobec mnie z powodu podporządkowania Hennerem, był to jednak związek bez większych szans, bo każdy z nich na własną rękę przygotowywał sukcesję po mnie. Wiedziałem, że zawożą do Warszawy dowody moich błędnych lub politycznie podejrzanych decyzji. Zabiegi te spełzy na niczym, bo moim następcą został kto inny. Nie wiem, co się stało z Hennerem, natomiast Aspisa znalazł się w Najwyższym Sądzie Wojskowym i obecnie figuruje na liście najbardziej bezwzględnych i okrutnych sędziów w sfingowanych procesach. Z wiarogodnego źródła dowiedziałem się o decydującej roli Aspisa w tak bezprzykładnym sterroryzowaniu sędziów NSW, że nie odważali się cokolwiek mówić na temat przygotowywanej sprawy kolegom, pracującym we wspólnym pokoju.

Wydaje mi się, że będąc szefem prokuratury raz tylko występowałem w sądzie, mianowicie w sprawie Stanisława Sojczyńskiego "Warszyca. Odział ten prowadził zbrojną walkę z reżimem, po obydwu stronach ginęli ludzie, lała się krew. Nadzorował sprawę mjr Henner, w pewnym momencie przyszło z Warszawy polecenie, abym ja osobiście oskarżał, poczem okazało się, że głównym oskarżycielem będzie delegowany przez naczelnego prokuratora szef prokuratury rejonowej w Warszawie, mjr Kazimierz Graff.

Tego rodzaju desant z Warszawy posiada jednoznaczną wymowę, ale oczywiście nie poczułem się urażony ani zlekceważony, natomiast odniosłem tę korzyść, że w wyniku podziału ról Graff oskarżał najwyżej usytuowanych w akcie oskarżenia, żądając najwyższego wymiaru kar, mnie zaś pozostali mniej obciążeni.

Po rocznym szefowaniu spełniły się moje oczekiwania, zostałem odwołany. Przyszedł na moje miejsce nieznan mi dotąd ppłk Auster. Dowiedziałem się wkrótce, że Łodzią rządzi triumwirat, do którego należą prócz wymienionego Austera szef miejscowej informacji i komisarzyczny dziekan Rady Adwokackiej, rodzony brat Aspisa, noszący dla odmiany nazwisko Popecki. Po kilku latach dowiedziałem się z biuletynu adwokackiego, że Auster, będący adwokatem gdzieś na Ziemiach Odzyskanych został skazany na cztery lata pozbawienia wolności za tzw. powoływanie się na wpływy.

Na początku kwietnia 1947-go roku zostałem przydzielony do Departamentu Służby Sprawiedliwości MON. Nie ulega wątpliwości, że na poprzednim stanowisku nie sprawdziłem się, stąd przeniesiono mnie na niższe, bo z etatu generalskiego na chyba zaledwie podpułkownikowski i w miejsce samodzielności poddano hierarchicznie trójstopniowemu nadzorowi służbowemu. Jeśli pominąć dolegliwość, związaną z ograniczeniem do dwóch niecałych dni w tygodniu kontaktu z rodziną, to nowy przydział prawdziwie mnie ucieszył. Wyobraziłem sobie, że w ten sposób przestałem być liniowym prokuratorem, w tym epizodycznie również szefem jednostki, to zaś oznaczało zerwanie z działalnością, od dawna już dla mnie nieznośną, trudną i ryzykowną.

Departament nie miał własnych etatów, korzystał z sędziowskich lub prokuratorских; ja na etacie wiceprokuratora NPW zostałem kierownikiem sekcji ułaskawień i konsultacji w sprawach karnych. Ten drugi członek nazwy sekcji, czyniący mnie konsultantem stanowił oczywiście w tamtym czasie formułę bez pokrycia, jednakże stał się impulsem do rozpoczęcia solidnej nauki. Właściwe kwalifikacje zdobyłem po latach dopiero w adwokaturze i wtedy nawet brałem udział w szkoleniu aplikantów.

Do obowiązków moich należało zgodne z otrzymanym poleceniem opracowywanie wniosków ułaskawieniowych oraz gruntowna analiza pod określonym kątem akt spraw już osadzonych i uprawomocnionych. Wiele pożytku przyniósł mi ten rodzaj pracy, bo w warunkach całkowitego spokoju, bez konieczności podejmowania natychmiastowych i trudnych decyzji, poznawałem mechanizmy rządzące procesem karnym, w tym także wszelkie jego wynaturzenia. Przyswoiłem sobie między innymi umiejętność czytania akt sądowych, która jest lektorstwem szczególnym i niezawsze docenianym.

Moim bezpośrednim przełożonym był szef wydziału karnego, ppłk Mieczysław Halski, którego uznaję za jednego z najprzyzwoitszych ludzi, z jakimi kiedykolwiek miałem do czynienia. Powiedziano mi o jego bardzo nietypowym w naszych stosunkach życiorysie, miał być bowiem "bezprizornym" żydowskim dzieckiem z terenów Rosji. Musiał jednak mieć jakieś powiązania z literacką rodziną Wittów. Przypadkowo wprowadzony do domu Olgi Wattowej w Paryżu, spotkałem tam dwie jego kuzynki, które dowiedziawszy się, że jestem warszawskim adwokatem, natychmiast zaczęły mówić wiele dobrego o nim.

Halski cieszył się sympatią i wysokim uznaniem zarówno w departamencie jak i w naczelnej prokuraturze, płk Holder cenił go i liczył się z jego zdaniem. Podobnie jak płk Skoczek, z którym zresztą pozostawał na przyjacielskiej stopie. Mnie imponował przede wszystkim odwagą w wielu wystąpieniach i interwencjach. Niezależnie od oczywiście pozytywnych cech jego charakteru nie pozostawało jednak bez znaczenia również to, że nikt nie mógł mu zarzucić ani akowskiej proweniencji, ani też, jako bezpartyjnemu, na przykład prawicowego odchylenia. Nie potrafię dzisiaj wskazać takiej formalnej podstawy działania naszego wydziału, ale oprócz spraw ułaskawieniowych właściwie zajmowaliśmy się wszystkim, co dotyczyło wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Przyjmowaliśmy w tych sprawach adwokatów ale również

wielu innych interesantów. Z całego kraju zgłaszali się między innymi dawni nasi znajomi, ich rodziny lub osoby na nich powołujące się. Zapewne byli zasugerowani spodziewaną nadrzędnością Departamentu nad całą służbą sprawiedliwości. Wykorzystując posiadany autorytet i dobre koleżeńskie stosunki Halski wielokrotnie interweniował, a przynajmniej uzyskiwał jakieś informacje u kolegów z naczelnej prokuratury, dotyczące osób aresztowanych. W późniejszym okresie również mnie samodzielnie udawało się osiągnąć coś w tym względzie. Gdy przeszliśmy do adwokatury, koleżanki i koledzy, którym wówczas służyliśmy pomocą, sympatycznie wypowiedali się na ten temat.

Halski wyrządził mi bezcenną wprost przysługę, skutecznie przyczyniając się do tego, że pewien oficer z sekretariatu Departamentu, po początkowych wahaniach zgodził się na włączenie do moich akt osobowych antydatowanego oświadczenia o przynależności do PLAN i AK. Z uwagi na uwarunkowaną szczególnymi okolicznościami potrzebę natchmiastowego sporządzenia pisma nie pamiętam, o ile skróciłem okres mojej nielojalności wobec władzy. Nie mając nigdy dostępu do swoich akt, również później nie mogłem tego sprawdzić.

Drugim obok Halskiego moim przełożonym, jakkolwiek pod pewnymi względami nieco większego formatu, był zastępca szefa Departamentu, płk Zygmunt Skoczek. Przedwojenny sędzia wojskowy, członek PPR i, jak się później dowiedziałem, także oficer AK. Przyszedł chyba ze stanowiska sędziego dywizyjnego, poczem Holder powierzył mu nadzór nad wydziałem radców prawnych oraz sprawy organizacyjne. Nie wyobrażam sobie lepszego i bezpieczniejszego usytuowania, niż takie właśnie, w wojskowej służbie sprawiedliwości. Zygmunt Skoczek oddał mi w roku 1949-ym ogromną przysługę, o której powiem osobno. Po przejściu do adwokatury szybko dał się poznać z najlepszej strony. Jako dziekan Warszawskiej Izby Adwokackiej, mądrze i odważnie występując wobec władz, zrobił wiele dla całej, ówczesnej z powodów politycznych nie najlepiej traktowanej adwokatury. Zachowano mu to w pamięci. Do końca był członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej i redaktorem naczelnym periodyku "Palestra". Nigdy nie ukrywał swojej lewicowości i zgodnie z własną wolą został nawet pochowany z uwzględnieniem ceremoniału partyjnego. Na tle powszechnego w tamtym okresie koniunkturalizmu dawnych partyjniaków taka konsekwencja i wierność wyznawanym, choćby nie naszym, poglądom powinna być uznana za pozytywną, budzącą szacunek cenę charakteru. Panowały pomiędzy nami bliskie stosunki, zastępowałem go przed sądami w czasie choroby. Nad trumną pożegnałem, przyjaciela w imieniu koła obrońców wojskowych. Z wielkim żalem.

Szef Departamentu, płk Henryk Holder miał ogólnie wysokie notowania. Był uważany za człowieka wysoce kulturalnego, budził zaufanie, poważnie traktował podwładnych. Nie potrafię powiedzieć, jaki zakres władzy przejął Departament po dawnym Zarządzie Sądownictwa Wojskowego i wobec tego, na czym polegało w zakresie prowadzonych śledztw podporządkowanie Holderowi Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Podległość ta może być rozważana tylko do czasu reorganizacji w roku 1950-ym, bo po tym terminie NPW zyskała całkowitą samodzielność. Co się tyczy samej pozycji politycznej szefa Departamentu to dość wymownym przyczynkiem do określenia jej może być fakt, że na przełomie 1949/50 roku, wbrew jego prawie nieskrywanym oczekiwaniom i powszechnemu przekonaniu o słuszności takiego awansu, nie został jednak generałem.

W sprawach ułaskawieniowych Holder nierzadko dopuszczał nas do swoistego partnerstwa. Bywało tak, że gdy któryś z nas - w zasadzie Halski, a ja w zastępstwie - uważał decyzję szefa na przykład za zbyt rygorystyczną, dochodziło do dyskusji, bardzo ożywionych i długotrwałych, kończących się niekiedy naszym sukcesem. Pod koniec mojej służby zdarzyło się raz, że kiedy nieobecny Holdera zastępował Zarakowski, a ja spróbowałem wpłynąć na zmianę jego stanowiska, krótko uciał jakąkolwiek dyskusję i polecił mi zrobić tak, jak on uważa. Nigdy nie miałem bezpośrednio do czynienia z poprzednikiem Zarakowskiego na stanowisku naczelnego prokuratora, płk. Antonim Skulbaszewskim

baszewskim, wiedziałem tylko, że był enkawudystą i wyjątkową kanalią.

Dowiedziałem się od niewiasty, która przez wiele lat pracowała u małżonków Holderów w charakterze wychowawczyni ich syna, że zmiana sytuacji politycznej całkowicie załamała mojego byłego szefa. Szybko postarzał się, zniedołężniał i, jak twierdziła moja rozmówczyni, zadreńczył się. Z wypowiedzi jego wynikało, że klęskę swoją upatrywał nie w utracie stanowiska i znaczenia, lecz w zawaleniu się wyznawanego systemu wartości. Zaskoczył mnie ten wizerunek człowieka, którego właściwie nie posądzaliśmy o to, że będzie tak długo bezkrytycznie ulegał komunistycznej iluzji. Z kolei przypomniało mi to, zawierające identyczną nutę ideowego zawodu słowa Stanisława Zarakowskiego, którego po sierpniu 1956-go roku przypadkowo spotkałem koło mojego Zespołu na ul. Poznańskiej. Po przywitaniu się, bez jakiegokolwiek wstępu, jak gdyby tylko kontynuując wcześniej rozpoczętą rozmowę, wyrzucił z siebie: No, niech pan popatrzy. Jakiego durnia dałem zrobić z siebie". Z uwagi na nikłą naszą znajomość zaskoczyła mnie ta sytuacja, jednakże uprzytomniłem sobie, że widocznie tak dalece dreńczyła go potrzeba samokrytycznego otwierania się, że uznał mnie za okazjonalnie odpowiedniego słuchacza, bo nie z jego kręgu partyjnego a zarazem na pewno kompetentnego i może nie nastawionego wrogo.

Nie zachowałem wrażenia, abym w czasie mojej trzyletniej pracy w Departamencie był poddawany szczególnej indoktrynacji. Wysłuchałem dwóch, partyjniackim żargonem wygłoszonych pogadanek politycznych gen. Spychalskiego a później co pewien czas naszą prawnopolityczną świadomość usiłował kształtować sędzia ppłk Hochberg - także przyjechał z Łodzi - o pseudonimie "Rebe", którego zresztą nie ukrywaliśmy przed nim. Uzupełniali go dwaj kapitanowie z NPW - Feld i Gol, ten ostatni z przedrostkiem "de". Obydwaj otworzyli potem w Izraelu podobno nawet dobrze prosperujące kancelarie adwokackie. Proces wszelkiej indoktrynacji wymaga współdziałania obydwu stron, w naszym przypadku aktywność okazali jedynie prelegenci. Poza to muszę stwierdzić, że wbrew późniejszemu zaklinaniu się przez niektórych kolegów, nikt nie wywierał na mnie nacisku, abym wstąpił do partii. Dopiero w adwokatyrze spotkałem się z takimi propozycjami. Wydaje mi się natomiast, że gdybym podpisał deklarację partyjną a potem bez skrępowań odciął się od działalności okupacyjnej, to mógłbym nawet zrobić karierę. Jej, między innymi materialny, wymiar stanowiły dyskretne premie, przydziały działek lub atrakcyjnego sprzętu z demobilu. Z pewnej głośnej sprawy wiemy, że mógłby to być nawet jacht dalekomorski. W miejsce tego wszystkiego, gdy wreszcie odchodziłem z wojska po pięciu latach i pięciu dniach służby, wypłacono mi odprawę, za którą zdołałem nabyć jedną porządną jesionkę.

Mimo panującej w moim miejscu pracy dobrej i przyjaznej atmosfery, ^{ta} właściwie niewiele i jedynie powierzchownie upolitycznionej, moja sytuacja polityczna, poczynając od roku 1947-go nie wyglądała najlepiej. Zaczęło się właściwie od błahej sprawy, oto następca mój na stanowisku szefa WPR w Łodzi, ppłk Auster na wpół aroganckim listem zażądał zwrotu bezprawnie przeze mnie przetrzymywanego i pozaetatowego pistoletu Walther. W odpowiedzi przesłałem kopię pokwitowania magazynowego na dowód, że pistolet zdałem. Niebawem doszło do mojej wiadomości, że oficerowie Informacji przeprowadzają z pracownikami prokuratury rozmowy na różne tematy, między innymi odnośnie uzyskanego przeze mnie dwukrotnie przydziału tekstyliów i sposobu ich rozdzielania. Wiadomość ta w połączeniu z błahą właściwie sprawą pistoletu uprzytomniła mi jednak, że na pewno zostało wszczęte w Łodzi skoordynowane poszukiwanie tzw. haka na mnie. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że sam sprokurowałem znacznie groźniejszego "haka" na siebie.

Z osobą płk. Holdera łączą się bardzo ambiwalentne moje odczucia w związku z zawodem, jaki mi sprawił. Mianowicie w drugiej połowie 1947-go roku świeżo poznany człowiek stworzył mi szansę przejścia do innej służby w wojsku. Był nim płk Marian Bartoń, sędzia NSW, którego oddelegowano do naszej misji wojskowej w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech. Dość często przyjeżdżał do kraju i odwiedzał ko-

legów a wśród nich również Halskiego. Był miłym, kulturalnym i inteligentnym rozmówcą, wkrótce nawiązała się między nami bliska, męska komitywa. Spotkaliśmy się również towarzysko poza Departamentem. Kiedy mu się zwierzyłem, że mimo wyraźnej poprawy warunków mojej służby nadal uwiera mnie prokuratorski uniform, niepodziewanie zaproponował mi konkretną pomoc. Oświadczył, że ma kogoś w Departamencie Personalnym MON i jeżeli tylko Holder wyrazi zgodę na moje odejście, zostanę jakoś doczepiony do jego, Bartonia misji. Skoro miałem kiedyś powiązania z dziennikarstwem, to ewentualnie w charakterze asystenta czy ewentualnie chociażby praktykanta prasowego. Halski odniósł się do moich zamiarów ze zrozumieniem, jednakże zastrzegł, że nie będzie nakłaniał szefa do pozbywania się dobrego pracownika.

Po dokładnym przemyśleniu sprawy zameldowałem się u Holdera i wyłuszczyłem swoją prośbę. Nie ujawniłem osoby protektora, powołując się jedynie na zapewnioną mi przychylność kogoś z Departamentu Personalnego. Szef był zaskoczony i od razu zajął stanowisko negatywne. Przytoczyłem wówczas szereg przystosowanych do tej szczególnej sytuacji argumentów. Przede wszystkim, że pragnę nadal pozostać w wojsku. Następnie, że w sądownictwie znalazłem się przypadkowo i w przyszłości w nim nie pozostanę; że w momencie ewentualnego zdemobilizowania będę miał około czterdziestu lat i wtedy tylko dziennikarstwo umożliwi mi stworzenie warunków do rozwiązania problemów życiowych mojej dużej rodziny. Wątek dziennikarski został przede mną oczywiście sztucznie rozbudowany, bo dotyczył przed wojną zaledwie fragmentu mojej działalności zarobkowej.

Doszło do długotrwałej, miejscami nawet burzliwej dyskusji, bo miałem przed sobą cel, godny wielkiego wysiłku i służbowego ryzyka. Opór ze strony Holdera zaczął słabnąć i w pewnym momencie usłyszałem: "No, trudno. Nie pozbawię pana tej, jak pan mówi, szansy. Proszę złożyć umotywowany raport". Z uczuciem zrozumiałej wdzięczności opuszczałem gabinet szefa i zaraz na korytarzu natknąłem się na jednego z radców, ppłk. Krajewskiego, o którym wiedziałem, że także jest byłym AKowcem. Pochwaliłem się odniesionym sukcesem i odpowiadałem na jego pytania, kiedy po upływie najwyżej kwadransa w drzwiach swojego gabinetu ukazał się płk Skoczek, który polecił mi udanie się do szefa. Zdziwiony, zameldowałem się u niego i wtedy usłyszałem, że decyzji swojej nie zmienia a jedynie wykonanie jej zawieszają do czasu mojego powrotu z urlopu, na który powinienem się udać, bo pracy w Łodzi na pewno jestem zmęczony. Tego rodzaju przejaw troski o moje zdrowie oczywiście zaskoczył mnie a zarazem wywołał niedobre przeczucia. Nie zawiodły mnie one, bo po moim powrocie z wymuszonego urlopu Holder, już całkowicie nie w swoim stylu, uchylił się w ogóle od merytorycznej rozmowy. W ten sposób spotkał mnie dotkliwy zawód, jednakże mój żal do Holdera nie trwał długo, bo jasno uprzytomniłem sobie zadziałanie jakichś czynników, które w czasie mojej piętnastominutowej rozmowy z Krajewskim potrafiły zmienić, wydawało się, suwerenną decyzję kogoś tak wysoko usytuowanego, jak szef Departamentu.

W okresie adwokackim zapytałem Zygmunta Skoczka, czy uważa za realny ten mój pomysł z misją wojskową. Odpowiedział, że wtedy wszystko było możliwe, krytycznie natomiast odniósł się do samego Bartonia, któremu zarzucił niemal profesjonalne przywożenie do kraju szabrowanych samochodów niemieckich. Taka jego działalność, gdybym nawet wcześniej o niej wiedział, nie miałaby dla mnie jakiegokolwiek znaczenia. Bartoń liczył się tylko jako człowiek, który efektywnie umożliwił mi wyjście z niechcianej służby. Tam, w komisji moją już sprawą byłoby okazanie się przydatnym.

Niewątpliwie nie jest to tylko dziełem przypadku, że wkrótce, nadal w miesiąc po ostatecznym cofnięciu przez Holdera zgody na moje odejście złożył mi wizytę w miejscu pracy podpułkownik Informacji. Odniosłem wrażenie, że oficera tego widziałem już wcześniej i nie tylko raz gdzieś na naszym piętrze. Oświadczył na wstępie, że przychodzi za wiedzą szefa Departamentu i że wszystko odbywa się w sposób rutynowy, co oznaczałoby stałe obsługiwanie przez niego naszej jednostki.

Oficer ten w korzystny sposób odróżniał się od kilku znanych mi wcześniej jego kolegów. Dobrej prezencji gościa towarzyszył całkowicie poprawny, powiedziałbym, nawet elegancki sposób bycia i bezbłędna polszczyzna. Jakby przeprasząc za to, że mnie fatyguje, zadawał jednocześnie szereg pytań, między innymi szczegółowe na temat mojego życiorysu. Sięgnął wstecz nawet do moich studiów lekarskich i Strzelca. Padały także pytania odnośnie mojej znajomości z różnymi wojskowymi, ale wymieniał same nieznane mi nazwiska. Mógł on w ten sposób dokonywać typowego dla technik śledczych zgrywania różnych relacji, bądź też, o czym się zaraz przekonałem, zastawiać na mnie pułapkę. Mianowicie w trakcie monotonnej, jak gdyby mechanicznej wyliczanki usłyszałem włączone w ciąg różnych nazwisk, w sposób zachęcający mnie do kolejnego zaprzeczenia, nazwisko Czesław Mankiewicz. I w tym momencie wiedziałem już, jakiemu celowi służy ta cała wizyta.

Kiedy "rutynowo" odwiedził mnie on, sprawa mojego ujawnienia, zawdzięczając przyjaznej pomocy, była już pod względem formalnym częściowo uporządkowana. Przynajmniej pozbyłem się w ten sposób niebezpiecznej etykiety "zakonspirowanego AKowca", która oznaczała w moim przypadku nieszczerą polityczną oficera czynnej służby ale w pewnych układach mogła być uznawana nawet za wyraz gotowości do wrogiego działania. Jednakże stało się oczywistym, że kontrwywiad wojskowy, oddawna wiedząc o mnie prawie wszystko okazał swoją wielkoduszność, bo cierpliwie czekał na mój rozsądkiem podyktowany ruch. Z kolei zrozumiałem, że od tego momentu powinienem zdawać sobie sprawę, że po ujawnieniu tak oczywistej mojej nielojalności jestem i będę pozostawał pod stałą kontrolą, niezależnie od stałych mechanizmów jej działania.

Wizyta oficera Informacji oraz poprzedzające ją o zainteresowaniu mną w Łodzi a potem zaskakująca zmiana stanowiska przez Holdera - wszystko to, nie wprawiając mnie wprawdzie w nastrój paniki, uprzytomniło mi jednak, że mam trwałą pozycję w odpowiednich rejestrach, że zdecydowana przewaga się jest po tamtej stronie i że wobec tego muszę być dostatecznie czujny i rozważny.

Zegnając się ze mną, mój gość zapowiedział ponowne odwiedziny w przyszłości. Dotrzymał słowa mniej więcej po roku, ale właściwie był to z jego strony jedynie formalny gest.

Nadszedł najbardziej dramatyczny moment w mojej służbie, mianowicie włączenie mnie do sprawy Witolda Pileckiego i jego grupy. Sprawa ta nadal budzi wielkie i zrozumiałe emocje z powodu zbrodniczego uchylecia się przez Bolesława Bieruta od ukaskawienia również Rotmistrza. Bez tego tragicznego finału mogłaby stanowić dzisiaj ewentualnie jeden z interesujących fragmentów żołnierskiej drogi Pileckiego. Jednakże nie byłoby jakichkolwiek wzmianek kronikarskich, gdyby nie wystąpienie w toku znanych nam wydarzeń niezrozumiałego aktu nie-subordynacji żołnierskiej z jednoczesnym, w pełni świadomym i jak gdyby desperackim wyjściem nieszczęściu na przeciw.

Eksponując dzisiaj te zdarzenia o istotnym przecież, bo kreatywnym znaczeniu, nie odnoszę z tego osobistej korzyści, albowiem nie mogą one wpłynąć na zmianę mojego przekonania i wynikającej z niego samooceny, że mój faktyczny udział w tym procesie i żądanie najwyższego wymiaru kar to dwa bezsporne fakty. Z wielu względów nie jest natomiast obojętne dokładne przedstawienie realiów samego procesu, w tym również mojego w nim umocowania, jako całkowicie przypadkowego oskarżyciela. Chcę i powinienem odpowiadać wyłącznie w granicach swojego osobistego zawinienia, a nie zaś za reżim, o którego naturze chyba już wszystko wiemy.

Proces rozpoczął się 3-go marca 1948-go roku. Na trzy, cztery dni przed tym terminem wezwał mnie płk Skoczek i zawiadomił, że decyzją szefa Departamentu zostałem skierowany do dyspozycji NPW, jako oskarżyciela w zbiorowej sprawie szpiegowskiej. Byłem całkowicie zaskoczony, jeszcze bardziej zaś Halski, który wcześniej niż ja powinien być o tym powiadomiony a także zgodnie z panującym dotąd dobrym obyczajem zapytany, czy może mnie odsunąć od moich zajęć. Jako powód

zwrócenia się do Departamentu o pomoc w tej sprawie NPW podała nagłą chorobę właściwego prokuratora i chwilowy brak odpowiedniego zastępcy na kilka dni rozprawy.

O szczególnym charakterze tego procesu i braku zaufania do mnie świadczyło między innymi to, że nie pozwolono mi czytać akt w moim pokoju, jak również zobowiązano do pozostawiania na miejscu sporządzanych przeze mnie notatek.

Czytając akta nie znalazłem w nich niczego, co mogło by wskazywać na sztuczność i nieprawdziwość zarzutów aktu oskarżenia. Wyjaśnienia podejrzanych i zeznania świadków były wzajemnie zgodne i sprawiały wrażenie spontanicznych. Istniały dokumenty organizacyjne oraz w trzech specjalnie sporządzonych schowkach dobrze zakonserwowane dwa ręczne karabiny maszynowe, cztery pistolety maszynowe a ponadto ostre granaty, duża ilość amunicji i laski trotylu. Pilecki wskazał miejsce przechowywania jego pistoletu. Ujrzałem cały dramatyzm sytuacji procesowej grona ludzi o takim samym Skowskim rodowodzie, którzy w swoim poczuciu patriotyzmu podjęli w pojańtańskiej rzeczywistości działalność antyreżimową, w danym wypadku całkowicie pozbawioną szans.

Szokujące a zarazem powodujące moją męską, brutalną reakcję było odkrycie, że Witold Pilecki mógł nie dopuścić do procesu i ten sposób uratować wszystkich, gdyby wykonał rozkaz przerwania działalności i powrotu do Londynu, bo tam już wiadzano, że jest spalony. Rozkaz ten przekazała mu łączniczka kpt. Jadwiga Mierzejewska "Danuta".

W związku z tym ostrzeżeniem Pileckiego, że UB wie o jego działalności, dokładnie pięć lat później zadałem sobie pytanie, jak dawno został on zdekonspirowany. Czy nie stało się tak właśnie, że już wcześniej o zamierzonym jego przyjeździe wiedziała Warszawa od swojego londyńskiego agenta. O tego rodzaju ubiackiej operatywności, nie bez zaskoczenia dowiedziałem się z pierwszej mojej obrony przed sądem wojskowym. Klientem moim był oficer, którego pod względem formalnym można przyrównywać do Pileckiego, bo przydzielono mu podobne zadania wywiadowcze, jako kapitan był w równym stopniu wojskowym i także nosił pistolet. Jego przyjazd do kraju, o czym ze względów konspiracyjnych miała nie wiedzieć rodzina, był zaanonsowany przez agenta, wobec czego czekano na niego a potem objęto nad nim nadzór operacyjny. Kiedy zorientowano się, że już nie ujawni dalszych kontaktów, aresztowano go.

Lekceważąc wszelkie narzucone mi rygory przekazałem Halskiemu pełną informację o sprawie, nie budzących wątpliwości dowodach i obliczu politycznym oskarżonych. Dla obydwu nas stało się jasne, że nie ma argumentu dla mnie, jak również dla niego, gdyby chciał mi dopomóc, abym mógł zaprotestować przeciwko wyznaczeniu mnie do oskarżania. W toku trwającego osiemnaście lat procesu rozliczania mnie spotkałem się z poglądem, że mimo braku argumentów rzeczowych, wierny symbolice powinienem być odmówić. Najbardziej rygorystyczni w tym względzie byli niespełna trzydziestolatkowie, których wówczas i długo jeszcze potem nie było na świecie, a kiedy dorastali, starsi mężczyźni w rodzinie zapewniali im poczucie bezpieczeństwa. Odpowiedziałem na tego rodzaju krytykę i nadal to podtrzymuję, że bohaterstwo stanowi cenną cnotę ludzką, zasługującą na najwyższy szacunek i nagradzaną orderami, jednakże nie ma obowiązku bycia bohaterem a problem sprowadza się wyłącznie do świadomego i w pełni samodzielnego wyboru. Z kolei, kiedy dzisiaj bez jakiegokolwiek osobistego ryzyka, z bezpiecznego dystansu teoretyzujemy na ten temat, to trzeba sobie jasno zdać sprawę, że wynikający w istocie ze szlachetnego porywu czyn heroiczny wtedy rzeczywiście się liczy, kiedy zawiera głębszy i istotny sens. Bez tego koniecznego waloru stanowi jedynie podyktowany emocjami eksces. W pewnych okresach życia, bez jakichkolwiek oporów i z pełną świadomością ryzyka rozporządziłem sobą. Postąpiłem tak, co zarazem określało istotny sens narażania życia. W konkretnej sprawie karnej z 1948-go roku gołosłowna, nie poparta rzeczowym argumentem odmowa udziału w zaplanowanym od dawna i poprzedzonym zapowiedziami w prasie procesie, dokonana w przeddzień jego rozpoczęcia, stanowiłaby li tylko czczą demonst-

rację i bezsensowny akt jednosobowego buntu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w ówczesnej mojej, wyraźnie zagrożonej sytuacji szybko zaprowadziłoby to mnie do więzienia, oskarżeni zaś nie odnieśliby z tego najmniejszej nawet korzyści. Wręcz przeciwnie, Różański dostałby w ten sposób gotowy scenariusz powiązań grupy Pileckiego z akowskimi wtyczkami w wojskowym wymiarze sprawiedliwości.

W ramach dyskusji na ten temat jeden z dziennikarzy zapytał mnie, czy wierzę w zapewnienie byłego prokuratora wojskowego, że kiedyś kategorycznie odmówił udziału w procesie i uszło mu to bezkarnie. Odpowiedziałem, że wierzę w to, iż ten prokurator mógł tak powiedzieć. Odosobniony jakiś przypadek odmowy, zwłaszcza w początkach PRL mógł się zdarzyć, ale merytorycznie mógłbym się odnieść do tej sprawy tylko wówczas, gdybym poznał szereg istotnych jej elementów. Miałem na myśli między innymi to, czy sprawa była uczciwie zrobiona, jaki był pułap żądań w zakresie kary i, co najważniejsze, jakie osobiste stosunki panowały pomiędzy tym moim byłym kolegą a jego przełożonym. W dobrych układach personalnych, niekiedy przyjacielskich można było uwolnić się od konkretnego oskarżania bez demonstracyjnego protestu a jedynie prośbą, naleganiem, perswazją. Mogę sądzić, że rozmówca mojego dziennikarza nie dostrzegł, lub ją zataił, istotnej różnicy znaczeniowej pomiędzy odmową udziału w procesie a samym faktem nie wystąpienia w nim. W dobie wielkich przemian niektórzy ich uczestnicy nie potrafili oprzeć się pokusie wprowadzenia efektownej wstawki do swojego życiorysu.

Inny mój polemista zarzucił mi, że nie postąpiłem podobnie jak płk Kazimierz Graff, który nie wyraził zgody na prowadzenie lub nadzorowanie śledztwa przeciwko przybyłym z zagranicy marynarzom, za co został ukarany jedynie przeniesieniem na niższe stanowisko. Odpowiedziałem, że identyfikowanie dwóch absolutnie nieporównywalnych sytuacji jest w płaszczyźnie polemicznej ~~po~~ po prostu nielojalne. W grę wchodzi trzy zasadnicze różnice. Graffa nakłaniano do działania, które nawet w stalinowskim porządku prawnym było oficjalnie uznawane za przestępcze, miał on bowiem zmontować fikcyjny proces. Gdyby taki sam charakter miała sprawa, do której mnie wepchnięto, to bez względu na konsekwencje i bez chwili wahania zwróciłbym się do szefa Departamentu, na pewno w towarzystwie Halskiego, z prośbą o cofnięcie jego decyzji. Nie wyobrażam sobie - bo taki właśnie zachowałem obraz Holdera - aby interwencja nasza nie odniosła skutku i aby on wobec nas obydwu domagał się ode mnie oskarżenia niewinnych ludzi, do tego także AKowców.

Następna między nami różnica polega na tym, że Graff miał dostatecznie dużo czasu na szukanie ewentualnych sojuszników i organizowanie w ten sposób w miarę bezkonfliktowego wycofania się ze sprawy. I wreszcie trzecia istotna nierówność ^{dotyczy} naszych pozycji politycznych. Graff cieszył się zaufaniem partii, zajmował wysokie stanowisko w wymiarze sprawiedliwości. Po roku 1950-ym podlegli mu prokuratorzy żartowali w rozmowie ze mną, że podobnie, jak kiedyś Holder, Graff miał już w szafie gotowy mundur z generalskimi wężykami. Jego sprzeciw w sprawie oskarżania niewinnych marynarzy wyrażał incydentalne zastrzeżenia, odmienny punkt widzenia jednego ze współtwórców polityki represyjnej. W moim przypadku odmowa udziału i właśnie w praworządnie zrobionej sprawie została potraktowana jako oczywista prowokacja polityczna.

W okresie stanu wojennego zdarzały się odmowy oskarżania lub wyrokowania, jednakże nikt z tego powodu nie znalazł się w więzieniu. Niesfornym groziło przeniesienie służbowe, w najgorszym razie zwolnienie z pracy, co dla mnie byłoby spełnieniem pragnień i nieskutecznych zabiegów.

Postulat bezwzględnego odmówienia przeze mnie udziału w procesie grupy Pileckiego zasadza się na fenomenie kombatanctwa, rozumianego jednak zawężająco i w oderwaniu od ówczesnej rzeczywistości. Kiedy powstała PRL i zapadła decyzja o rozwiązaniu AK, którą to decyzję mieliśmy prawo potraktować dosłownie, ukształtowały się różne postawy społeczne. Część AKowców podjęła lub kontynuowała walkę zbroj-

na z reżimem i wspomagającymi go oddziałami radzieckimi. Wprawdzie już w roku 1946-ym Londyn zalecił rozwiązywanie oddziałów partyzanckich, to jednak trzeba się zgodzić z poglądem, że do tego czasu zbrojny opór choć pociągał wiele ofiar, był w politycznej skali makro uzasadniony i potrzebny, ^{wyrażał} ~~naszej~~ bowiem bezwzględny protest przeciwko sojuszniczemu urządzaniu części Europy. Z kolei władze komunistyczne pozyskiwały argument natury prawno-politycznej do stosowania odwetu. W ten sposób rozgrywał się kolejny akt narodowego dramatu a wszystko to potwierdzało trafność gorzkiej refleksji historycznej wybitnego intelektualisty angielskiego i laureata Nagrody Nobla, Bernarda Shaw o istnieniu trzech tragicznych narodów na świecie: Irlandii, Izraela i Polski.

Inni byli AKowcy z własnej inicjatywy, bez zabiegania o aprobatę ze strony szerokich gremiów, przystąpili, podobnie jak Witold Pilecki, do tworzenia pokojowo działających, choć niewątpliwie z radykalną perspektywą, struktur organizacyjnych.

Znaleźli się nawet tacy, którzy omamieni propagandą socjalistyczną, bądź z różnych przyczyn koniunkturalnych, podpisywali deklaracje partyjne.

Najliczniejsi wszakże, ze świadomością Jałty, Poczdamu a potem cofnięcia rządowi emigracyjnemu uznania zajęli realistyczną postawę przystosowania. Z większym lub mniejszym stopniem dezaprobaty, w klimacie jak gdyby powszechnej konspiracji. Odbudowa zniszczonego kraju, kultywowanie dobrych tradycji narodowych, obrona przed postęпами sowietyzacji nauki i kultury polskiej - to kierunki działania realnie przystosowanych, działających konkretnie i bez rozgłosu. Wiadomo, że współdziałali z nimi także członkowie PPR, bo codzienne życie zwykło łagodzić ostrość politycznej dychotomii. Poczucia realizmu jako dyrektywy postępowania w tamtych szczególnych czasach nie wolno utożsamiać z kapitulantstwem, biernością lub koniunkturalizmem, bo stanowiłoby to obrazę dla rzesz uczciwych Polaków.

Wszelkie kombatantstwo z okresu wojny - akowskie, bechowskie czy każde inne, jeśli dotyczyło rzeczywistej walki z hitlerowskim okupantem, jest cenną wartością i stanowi żołnierską nobilitację. Powstałe poczucie solidarności grupowej skłania nie tylko do wspólnego wspomnienia, świętowania rocznic i wyrażania opinii środowiskowej, lecz także do wzajemnego wspierania się i organizowania pomocy socjalnej. Tak jest w warunkach normalnego funkcjonowania państwa i łączącej się z tym, względnej stabilności społecznej, u nas jednak zapanował ustrój narzucony a całe społeczeństwo, bez podziału na organizacje, frakcje i emocjonalnie motywowane odłamy stanęło w obliczu totalnego zagrożenia. W miejsce stosunkowo wąskiego myślenia grupowego wstąpiło, jako postulat najwyższej kategorii, po prostu powszechne polskie myślenie. Bez względu na noszone przez nas odznaki i pielęgnowane symbole zakazywało ono szkoda sobie, a narzucało obywatelski obowiązek wspomaganie ostrzegania i ratowania się. Jeśli mógłbym tylko coś zrobić dla Witolda Pileckiego i jego ludzi, to decydującym impulsem byłoby tylko istnienie wspólnego wroga i wspólne, choć na innej płaszczyźnie i niejednakowego stopnia, zagrożenie.

Jeszcze w trakcie trwania procesu Halski ustalił, kto z ramienia NPW zwrócił się do szefa Departamentu o wyznaczenie mnie do oskarżenia i że było to zapotrzebowanie ściśle imienne. Nazwisko tego oficera, wówczas majora, jest wymienione wraz z wnioskiem o obniżenie stopnia wojskowego w raporcie komisji Szerera-Mazura, badającej naruszenia praworządności w wojsku. Oficer ten swego czasu nawiązał ze mną bliskie stosunki, wprowadził mnie nawet do swego domu. Chętnie podejmowałem wyraźnie zachęcającą inicjatywę, gdyż byłem wtedy w Warszawie jeszcze bez rodziny. Po tym, co powiedział mi Halski, rzekomego przyjaciela zapytałem wręcz, czy rozmawiał z Holderem na temat obsadzenia mnie w tym procesie. Nie zaprzeczył, ale jednocześnie skłamał, twierdząc że w imieniu NPW prosił o jakiegokolwiek oficera a moje nazwisko wymienił samodzielnie Holder. Pozostało tajemnicą, bo przekraczało to nasze możliwości konfrontacyjne, w jaki sposób uzasadnił Holderowi, konkretnie mnie dotyczący wniosek. Nie ulega natomiast wątpliwości, że to

on podstępnie wmanewrował mnie do sprawy, że działał w tajemnicy przede mną i że był narzędziem bezpieczeństwa. Jak dzisiaj wiadomo, nie był to tylko odosobniony przykład cynicznej i perfidnej gry, polegającej na konfrontacyjnym ustawianiu AKowców przeciw sobie i oczekiwaniu, co z tego wyniknie. Fałszywy mój przyjaciel a między innymi rzeczywisty współautor tego mojego osobistego dramatu już nie żyje. I podobnie, jak w wielu innych przypadkach niewiarogodnego przeplatania się losów ludzkich w tamtych czasach, stało się tak, że nasze kwatery rodzinne na Cmentarzu Wojskowym znajdują się niemal obok siebie.

Proces przebiegał bez jakichkolwiek zakłóceń i był prowadzony według wszelkich reguł praworządności. Bronili oskarżonych dobrzy adwokaci, przedstawiciele rodzin znajdowali się na sali. Wielu szczegółów nie mogę już pamiętać, ale podstawowe odtworzyłem sobie pod wpływem rozmów z przedstawicielami środków masowego przekazu. Na pewno nie było polemiki dowodowej z powodu oparcia aktu oskarżenia na szczyrych i szczegółowych wyjaśnieniach, przede wszystkim głównego oskarżonego i na znalezionych przy nim a potem przez niego wskazanych dowodach. Nie do zakwestionowania był oczywiście dowód w postaci dużej ilości broni, amunicji i trotylu. Niektórzy obrońcy starali się tylko ograniczać osobistą rolę swoich klientów.

W przerwie po zakończeniu przewodu sądowego doszło do mojego spotkania z płk. Zarakowskim i głównym reżyserem tego pokazowego procesu ppłk. Podlaskim. Zaskłynął on w późniejszym okresie szczególną aktywnością i bezwzględnością. Po usunięciu go z wojska i przeniesieniu do Prokuratury Generalnej podobno popełnił samobójstwo. Przebiegu rozprawy nie musiałem referować, bo obydwaj byli dobrze zorientowani. Podlaski wręczył mi na piśmie wnioski odnośnie wysokości poszczególnych kar wraz z ich politycznym uzasadnieniem. Zobowiązał mnie w ten sposób do wyrażenia stanowiska NPW w zakresie kar a zarazem wspomógł ideologicznie oficera dotąd mu nieznanego, bezpartyjnego i nie stwarzającego pewności, że w tym szczególnie nagłośnionym procesie nie popełni jakiegoś poważnego błędu.

Narzucone mi żądania wymiaru kar wywołały mój wewnętrzny sprzeciw i po prostu przeraziły mnie. Z całą stanowczością, którą uzasadniała ta szczególna sytuacja zwróciłem się do Zarakowskiego z oświadczeniem, że nie mogę żądać najwyższego wymiaru kary wobec Pileckiego jako więźnia Oświęcimia i żołnierza, a w stosunku do Marii Szelałowskiej, jako kobiety. Złagodzenie wniosków co do tych dwojga musiałoby automatycznie objąć dwa pozostałe. Wbrew moim przewidywaniom, że mogę wywołać ostrą reakcję przełożonych, obydwaj spokojnie i rzeczowo jęli przekonywać mnie, że moje obawy są niesłuszne, bo głównym celem tego procesu jest efekt odstraszenia, szczególnie w odniesieniu do zarzutu szpiegowstwa, że przed nami dwie instancje sądowe i że bez względu na to, jakie kary zostaną orzeczone, żadna kara śmierci nie zostanie wykonana, bo prezydent zastosuje łaskę. Całkowicie partnerska forma przekonywania mnie i treść argumentów uspokoiły moje obawy. Później przekonałem się, że prokuratura istotnie sięga niekiedy po wnioski demonstracyjne w zakresie wymiaru kary. Zapewnienia moich rozmówców, że bezwzględnie dojdzie do zastosowania łaski mogły nawet wynikać, nie wykluczam tego, z ich rzeczywistego przekonania. Witold Pilecki spełniał bowiem podstawowy, z reguły przez Bieruta uwzględniany warunek ułaskawienia, jakim było przyznanie się do zarzucanego czynu i efektywne ułatwienie śledztwa. Ponadto przemawiało za nim to wszystko, co łączyło się i Oświęcimiem i walką z Niemcami.

Co do wspomnianej otwartości Pileckiego od początku śledztwa, to wyobrażam sobie dzisiaj, że zachował się on jak każdy rozsądny, choćby najodważniejszy, dowódca, gdy znajdzie się w sytuacji, w której tylko kapitulacja uratować może jego i zależnych od niego ludzi. Wiedział rok wcześniej od przysłanej z II Korpusu emisariuszki, że znajduje się w kręgu operacyjnego zainteresowania bezpieczeństwa. W momencie zatrzymania znaleziono przy nim notes z około stu adresami i szyfr. Partnerem pierwszych jego rozmów po zatrzymaniu był płk Różański, człowiek równie okrutny jak inteligentny i przebiegły. Z okrucich

informacji, częściowo zapamiętanych przez mnie jak również uzyskanych później, wynika, że doszło do czegoś w rodzaju układu pomiędzy nimi. Charakterystycznym przykładem odmienności tego śledztwa w porównaniu z przeciętnymi postępowaniami jest zapamiętany przez mnie list Pileckiego do Różańskiego, pisany wierszem. Ułatwienie przebiegu śledztwa, które już na wstępie pozyskało tak cenny materiał dowodowy, na pewno uczynione zostało warunkiem ostatecznego utrzymania się tylko wysokich kar pozbawienia wolności. Zobowiązanie to zostało dotrzymane jedynie w stosunku do trzech osób, z wyłączeniem tego skazanego, który w pierwszej kolejności powinien być uratowany.

Z ostatniego dnia rozprawy zachowałem w pamięci ogólne wrażenie odnośnie dwóch wystąpień obrończych - jedno wysoce profesjonalne drugie prymitywne i nieuczciwe. Adwokat Pileckiego sumiennie i z dużym zaangażowaniem emocjonalnym starał się przekonać o szczerości wyjaśnień klienta, że nie nienawidził do Polski Ludowej, lecz poczucie dyscypliny i wierność żołnierskiej przysiędze były jedynymi motywami jego działania. Broń stanowiła powstańcze trofeum i nigdy nie miała być użyta. Natomiast, gdy idzie o obrończynię Marii Szelałgowskiej, to mogę sądzić, że podobnie, jak czasem inni niesumienni obrońcy z urzędu, w ogóle nie znała akt sprawy. Stąd zamiast obrony merytorycznej pokrzykiwała na Pileckiego, w różnym szyku słownym, że wykorzystując uzależnienie uczuciowe jej klientki, naraził ją na wielkie niebezpieczeństwo.

Główną tezą obrony samego Pileckiego było to, że nie działał na rzecz obcego wywiadu, bo wszelkie informacje przekazywał wyłącznie swemu dowództwu.

Przed kilku laty wiele osób pytało mnie, czy istotnie odczytałem na rozprawie a potem przekazałem sądowi list Józefa Cyrankiewicza, wzywający do bezlitosnego potraktowania Pileckiego. Wszyscy powoływali się na to samo źródło informacji, mianowicie na kuzynkę rotmistrza, Eleonorę Ostrowską. Zgodnie z prawdą informowałem, że p. Ostrowska popełniła grzech szczególnie nagannej konfabulacji, bo wymyśliła zdarzenie, którego w ogóle nie było a jednocześnie zarzuciła tą drogą Cyrankiewiczowi, że motywem haniebnego jego działania i ingerencji w toczący się proces miało być zamknięcie ust Pileckiemu, jako świadkowi jego kolaboracji w Oświęcimiu. W ten sposób, będąc osobą bliską rotmistrzowi okazała rażącą niewdzięczność Cyrankiewiczowi, bo istnieją podstawy do przypuszczenia, że interweniował on u Bieruta na rzecz ułaskawienia Pileckiego, jednakże bezskutecznie.

Żałować trzeba, że E. Ostrowska, osoba blisko związana z Pileckim, a więc mogąca stanowić, zwłaszcza dla historyków, cenne źródło informacji, tak skutecznie pozbawiła się tego waloru. Równie niewiarogodna stała się bowiem, kiedy opisuje scenę zgłoszenia się przez rotmistrza do niemieckiego żołnierza, który wszedł do mieszkania. Miał wtedy powiedzieć: "Zawiadam, wiesz kogo, że rozkaz wykonany". Nie ma dzisiaj powodu, aby utajniała pseudonim, jakim musiałby się posłużyć, gdyby rzeczywiście istniał ten, od którego pochodził rozkaz. Wydaje się nie budzić już wątpliwości, że wchodzący w rachubę, bezprzykładowy akt poświęcenia wynikał wyłącznie z jego decyzji, podjętej po zejściu do Oświęcimia przyjaciel z Tajnej Armii Powstańczej. Celem, jaki mu przyświecał było rozpoznanie terenu i zorganizowanie zbrojnej siły obozowej przed spodziewanym opanowaniem obozu z zewnątrz.

Nie sposób kategorycznie określić dzisiaj, co zaważyło na odmówieniu przez Bieruta ułaskawienia również Pileckiego. W okresie mojej pracy w Departamencie widzieliśmy niekiedy dopiski i podkreślenia w aktach, robione ręką Bieruta i zaskakujące wyeksponowaniem okoliczności, którą myśmy uważali za drugorzędną. W tej sprawie mogło to być na przykład kontynuowanie przez Pileckiego działalności wbrew rozkazowi odwołującemu go do Londynu. Poważnych moich rozmówców namawiałem, aby zapoznali się z t.zw. aktami operacyjnymi sprawy - mnie przed rozprawą ich nie udostępniono - tam bowiem mogą znajdować się wyraźniejsze wskazówki. Myślę jednak, że praktyce nagradzania ułaskawieniem przynajmniej w śledztwie przeciwstawił towarzysz Tomasz konsekwentny anty-

Pileckiego komunizm, zainicjowany ochotniczym udziałem w wojnie polsko-bolszewickiej a potem kontynuowany na Kresach we współpracy z polskim wywiadem i KOP-em. Ostatnia jego działalność polegała na rzeczywistym usytuowaniu w strukturach II Oddziału PSZ i w innej aktywności na terenie, kraju, nie objętej aktem oskarżenia, jak na przykład kontakty z oddziałami partyzanckimi na Białostoczczyźnie. Dwaj filmowcy pytali mnie, czy coś wiem na temat powiązania Pileckiego z głośnym na Podhalu oddziałem "Ognia". I o tym właśnie może być mowa w aktach operacyjnych.

nie można wreszcie wykluczyć tego, że w okresie oczekiwania na ułaskawienie usiłowano skłonić Pileckiego, podobnie jak się to działo w głośnych procesach lat pięćdziesiątych, aby obciążał narzucaną mu osobę. Nacisk psychiczny zwielokrotniono, być może, przymusem fizycznym, ~~o czym~~ o czym świadcząby zauważone przez p. Marię Pilecką na ostatnim widzeniu z mężem jego zabandażowane dłonie. Jest to może całkowicie irracjonalne, ale nadal nie potrafię oprzeć się sugestii, że po zapadnięciu wyroku w obu instancjach mogło dojść do prób złowrogiego wykorzystania przez ludzi Różańskiego tego właśnie, o którym wcześniej wspominałem a w istocie drobnego, nieporozumienia pomiędzy Pileckim i Cyrankiewiczem. Wyolbrzymiono je w kręgach bliskich rotmistrzowi, w czym przodowała E. Ostrowska, a UB postanowiło wykorzystać to przeciw Cyrankiewiczowi, zgodnie z ujawnioną przez Józefa Światło strategią tworzenia i gromadzenia materiałów obciążających na każdego wybitnego polityka. Pilecki nie dał się przekonać ani sterroryzować, poszedł więc odpowiedni meldunek do Bieruta. O tym, że zachowanie skazanego w okresie już po zapadnięciu wyroku może mieć wpływ na decyzję ułaskawieniową wiedziałem od dawna, ale z wielką przykrością upewniłem się o tym we wspomnianej wcześniej, pierwszej mojej obronie przed sądem wojskowym. Broniony przede mną kapitan miał wielkie szanse na ułaskawienie, bo postarałem się jak najbardziej profesjonalnie wykorzystać przemawiające za nim argumenty, ale kiedy toczyło się postępowanie ułaskawieniowe, człowiek ten pod wpływem zdenerwowania albo rozmyślnie sprowokowany, ułamał metalową łyżkę i jej ostrą krawędzią uderzył w szyję strażnika więziennego.

Nieustannie nurtującym mnie problemem, któremu poświęciłem wiele rozmów i poszukiwań jest ewentualność stosowania w tej sprawie przymusu, jako instrumentu śledztwa. Stwierdzam z ulgą, choć przecież ze śledztwem nie miałem nic wspólnego, że na przymus nie ma żadnego dowodu a istnieje tylko jedna i nie dotycząca śledztwa poszlaka.

Pierwsze sygnały musiałyby dotrzeć do mnie już na rozprawie, od wszystkich lub od któregoś z oskarżonych, nie można bowiem przyjąć za bezwzględna regułę, że zawsze obawa przed konsekwencjami powstrzymywała podejrzanych od poskarżenia się sądowi. Z kolei jestem przekonany, że o wymuszaniu przyznania na ich klientach powiedzieliby mi adwokaci, a w szczególności Rettinger, starszy, jowialny pan, który traktował mnie wręcz jak młodszego kolegę. Z obrońcami spotykałem się na każdej przerwie w miejscu przewidzianym dla palaczy. Widzieli mnie oni po raz pierwszy na sali sądowej i doskonale zdawali sobie sprawę, że nie należałem do znanej im i nie zachęcającej do zbytnej otwartości czołowni prokuratorskiej pod wodzą Podlaskiego. Z kolei, najbardziej miarodajnymi świadkami stosowania tortur byłiby Makary Sieradzki i Tadeusz Płużański. Ten pierwszy niczego na ten temat nie powiedział, między innymi w trakcie długiego wywodu przed Najwyższym Sądem Wojskowym, rozstrzygającym w 1990-ym roku rewizję nadzwyczajną, jak również wobec mnie, jako swego obrońcy. Płużański parokrotnie opisywał swoje pierwsze spotkanie z Różańskim, który miał wtedy demonstracyjnie wymachiwać pistoletem i przepowiedział mu, że będzie dwukrotnie skazany na karę śmierci, co się zresztą dokładnie sprawdziło. Płużański prócz tego bardzo często zabierał głos w radio i telewizji, stając się po pewnym czasie obiektem nieuczciwej manipulacji. Oto poprzez rozmyślny montaż łączy ona, ściśle do siebie przylegające, dwie różne wypowiedzi Płużańskiego: jedna o jego osobistym udziale w procesie grupy Pileckiego, drugą, dotyczącą jego ogólnej wiedzy o torturowaniu więźniów na Mokotowie. W ten sposób, stwarzając złudzenie myślowe i artykulacyjnej

ciągłości wypowiedzi, informuje się społeczeństwo, jakoby w procesie grupy Pileckiego były stosowane takie właśnie tortury.

Niezależnie od braku konkretnych dowodów stosowania brutalnych metod w tej sprawie, wydaje się przemawiać przeciw temu również nie istnienie przesłanek, systemowo motywujących oprawców. Jak z opisów wielu postępowań śledczych wynika, ludzie Różańskiego sięgali po nie głównie w dwóch przypadkach - gdy zgodnie z teorią Wyszyńskiego, że przyznanie się podejrzanego stanowi koronę dowodów, egzekwowano od aresztowanego potwierdzenie istniejących już jakichkolwiek dowodów lub nawet poszlak, ^{badz} jak w latach późniejszego, szczytowego terrorku, wymuszano przyznawanie się do nie popełnionego czynu lub obciążanie nim również innych, niewinnych ludzi.

W książce A. Cyry i W. J. Wysockiego pt. "Rotmistrz Witold Pilecki" którą uważam za rzetelne i cenne, bo oparte na konkretnych materiałach opracowanie historyczne, znajduje się jednak posłowie autorstwa Józefa Garlińskiego. Podaje on dwa jednakowo nieprawdziwe fakty, naruszając w ten sposób styl książki, napisanej z poczuciem odpowiedzialności. Opierając się widocznie na jakichś, tylko jemu wiadomych dowodach J. Garliński mówi /s. 228/ ~~o~~ o torturowaniu, szczególnie Pileckiego i o wymuszaniu w ten sposób podpisywanie protokołów z fałszywymi oskarżeniami. Na tej samej stronie znajduje się dezinformacja autorstwa E. Ostrowskiej na temat listu Cyrankiewicza, doręczonego mnie na rozprawie a następnie odczytanego przez sąd. J. Garliński zabrnął aż tak daleko - horribile dictu - że nawet przytoczył w cudzysłowie, a więc jako autentyczny, fragment nie istniejącego listu. Biada nam, jeśli oto tacy historycy mają kształtować naszą, a co gorsza, przyszłych pokoleń, świadomość historyczną. Książka jest w wersji polsko-angielskiej.

Po upływie ponad pięćdziesięciu lat od tego tragicznego procesu nie popełniam chyba nadużycia twierdząc, że wbrew pozorom odegrałem w nim zaledwie formalną rolę. W długim łańcuchu osobowym od ogłoszenia postanowienia o wszczęciu śledztwa do momentu wykonania wyroku działali w sprawie liczni oficerowie śledczy, prokuratorzy i sędziowie dwóch instancji. Mój udział ograniczył się zaledwie do kilku dni rozprawy przed sądem pierwszej instancji. Wobec oparcia zarzutów na niewątpliwych dowodach uruchomiony został automatyzm represyjny a los oskarżonych, to jest rodzaj i wysokość kar, stał się zależny od politycznej oceny ich czynów. Na pewno nie mógł mieć na nią wpływu taki, jak ja outsider, zarazem zaś człowiek bez jakiegokolwiek pozycji politycznej. Rozprawie przewodniczył przeciw szef Wojskowego Sądu Rejonowego, będący członkiem partii, zasiadał w komplecie także partyjny sędzia zawodowy i na pewno bardzo starannie do tej szczególnej sprawy dobrany ławnik. Najważniejsze zaś, co dzisiaj wydaje się nie budzić żadnych wątpliwości, że samym sędziom pozostawiono chyba niewielki margines swobody, bo właściwy wyrok zapadł poza salą sądową. Zapewne nie stanowi jedynie zbiegu okoliczności wspomniana wcześniej trafność przewidywań Różańskiego co do dwukrotnego skazania Płużańskiego na karę śmierci. Wszelako dzieje się tak, że całe, słuszne co do zasady i oczywiście zrozumiałe, oburzenie społeczne z powodu tego procesu wymierzone jest wyłącznie we mnie, skoro popełniam tę nieostrożność, że nadal żyję.

W okresie pomiędzy opisywaną sprawą i moją demobilizacją nastąpiły dwa całkowicie rodzajowo różne wydarzenia, wspólnie jednak świadczące o skutecznym sterroryzowaniu społeczeństwa, a więc także środowiska wojskowego. Jednym z oficerów w mojej sekcji był kpt. Kaczmarek lub Karczmarek. Stosunkowo krótko mieliśmy ze sobą do czynienia. Pracowity, zdyscyplinowany, ale ogólnie niezbyt wykształcony i słaby prawnik. Pewnego dnia nie zgłosił się do służby, czego uprzednio nie zapowiedział, i od tego momentu nigdy go więcej nie zobaczyłem, ani nie dowiedziałem się, co go spotkało. Jest to jedyna sprawa, w której ~~ppłk. Halski~~ ^{ppłk. Halski}, szef i przyjaciel mój, unikał konkretnego wyjaśnienia okoliczności zniknięcia kapitana, posługiwał się jedynie półsłówkami i w bardzo mglistej formie powiedział coś na temat przestępczości w okresie okupacji na szkodę ludności żydowskiej. Druga sprawa dotyczy wyz-

dzionej mi przez płk. Skoczka przysługi, co uratowało mnie od bardzo poważnych kłopotów. W okresie łódzkim, kiedy któregoś dnia jechałem w teren, kierowca wziął do samochodu pistolet maszynowy AK wraz z zapasowym magazynkiem. Wróciliśmy późnym wieczorem a ponieważ nasz zdezelowany, pokryty płócienną budą Mercedes garażował na nie pilnowanym podwórzu, kierowca zaniósł broń do mojego mieszkania. W obawie przed domownikami głęboko ją schowałem i, jako o przedmiocie doraźnie tylko użytym, całkowicie o niej zapomniałem. Podobnie, jak kierowca, który zresztą po przebytych zatruciu spalinami wkrótce zakończył służbę. Dopiero w rok później przypadkowo znalazłem zawiniątko z pistoletem. Oczywiście zaniepokoiło mnie to, bo słyszałem o pociąganiu oficerów do odpowiedzialności karnej ^{za posiadanie} nawet tak zwanej "trofiejnej" broni, a w moim przypadku wchodził w rachubę pistolet maszynowy i dodatkowy magazynek. O zdaniu broni w Łodzi nie mogło być mowy, z przyczyn, o których już mówiłem, wobec czego zdecydowałem, że muszę czekać na zapowiedzianą mi przeprowadzkę do Warszawy.

Przewiozłem feralną broń wraz z meblami i po pewnym czasie zwróciłem się z prośbą o przyjęcie jej do magazynu kolejno do płk. Mioduskiego - szefa sądu rejonowego i ppłk. Graffa - prokuratora rejonowego. Spełnienie mojej prośby było przy odrobinie dobrej woli całkowicie możliwe, bo obydwaj koledzy mieli w swoich magazynach prócz etatowej także różną inną broń - przyniesioną, odnalezioną lub stanowiącą dowód rzeczowy. Obydwaj wprawdzie zdawali sobie sprawę, że jestem byłym AKowcem, ale powinni wykluczyć to, że peem przyniosłem z lasu, i uwierzyć w moje, choć rzeczywiście dość nietypowe wyjaśnienie. Nie spodziewałem się jakichkolwiek trudności, bo złożyło się tak, że już od pewnego czasu mieszkaliśmy wspólnie z Mioduskim w tym samym domu, zaprzyjaźniliśmy się rodzinami i prawie codziennie grywaliliśmy w brydża. Z Graffem natomiast - wspominałem już o tym - przed dwoma laty w Łodzi wspólnie oskarżaliśmy w sprawie "Warszyca". Tymczasem obydwaj koledzy, jak gdyby według wspólnego scenariusza, przepraszając mnie, sięgając do różnych wykrętów i pustosłowia stanowczo odmówili. Uprzytomniłem sobie wtedy dwie istotne prawdy, mianowicie, że w powstałej sytuacji mam teraz rzeczywiście poważny powód do niepokojenia się i, że mój niby-przyjaciel i prokuratorski kombatant dali się tak dalece sterroryzować. Przez kilka tygodni bezskutecznie szukałem rozwiązania tego kłopotu i nie widząc już innego wyjścia odważyłem się przedstawić sprawę zastępcy szefa Departamentu, płk. Skoczki. Nie zdążyłem do końca jej zreferować, kiedy Skoczek wezwał sierżanta magazyniera i polecił mu oспowiednio zaprzychodować to, co mu niebawem przyniosę.

Nie bez żenady muszę przyznać, że sprawa z tym peem wywarła mocny wpływ na mój system nerwowy, bo znalazła nawet swoje oniryczne odbicie. Mimo upływu tylu lat, często jeszcze przeżywam przykry sen, w czasie którego bezskutecznie próbuję zniszczyć, zakopać lub zatopić jakiś pistolet. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że nawet średnio odważny żołnierz nie wpada w panikę i jakoś sobie radzi z nieprzyjacielem o ile ma go w polu widzenia lub wie, skąd i kiedy uderzy, no i oczywiście, jeżeli rozporządza jakąś bronią. Choćby sidolówką. Ja ponad rok, od momentu znalezienia ukrytego peemu do szczęśliwego finału, żyłem w stanie niepewności i mając na swoją obronę jedynie, dla wielu mało prawdopodobną, wersję o zapomnieniu. Czynnikiem szczególnie traumatyzującym w tak długim okresie i wówczas, kiedy tchórzliwi koledzy odmówili mi pomocy, była wściekłość na siebie, że sam się tak głupio urządziłem. Nie powinienem także pominąć czegoś tak istotnego, że cała ta sprawa wyniknęła w tym czasie, kiedy coraz bardziej gęstniała atmosfera polityczna w wojsku i kiedy wśród zaufanych i półgłosem zaczęto mówić o serii aresztowań oficerów różnych szczebli w związku z ujawnieniem wielkiego spisku w siłach zbrojnych.

Przekonanie moje, jakiego nabrałem w związku z wizytą sympatycznego podpułkownika Informacji, że jestem i będę już stale inwigilowany znalazło swoje dodatkowe potwierdzenie już po gomułkowskim Październiku. Pośrednią drogą dowiedziałem się mianowicie, że płk Pluta-Czachowski był w więzieniu dwukrotnie - raz w nocy, obudzony ze snu - pytany o to, co nas łączyło. W rzeczywistości nic, bo tylko raz doszło

49

między nami do jakiejś zdawkowej rozmowy i wydał mi się mało komunikatywny. Być może dlatego, że byłem w mundurze. Małżonkowie Plutowie mieszkali u moich wujostwa przy ul. Filtrowej, do których przychodziłem czasem na brydża. Teraz wiem, że w pobliżu mieszkał także gen. Tatar. Pod wpływem stosownie ukierunkowanej presji "Kuczaba", na którym wymuszono w śledztwie przyznanie się do nie popełnionego czynu /J. Poksiński, TUN, str. 174/, mógł "na odczepne" ~~powiedzieć~~ powiedzieć coś obciążającego mnie. Z kolei, skoro indagowano Plutę na mój temat, oznacza to, że Informacja wiedziała o moim bywaniu w willi wujostwa.

Bezwzględny i najbardziej miarodajny potwierdzeniem tego, że nie histeria, lecz jedynie poczucie rzeczywistości kazały mi uznawać się za wyraźnie zagrożonego, stały się oświadczenia Holdera i Zarakowskiego, gdy żegnałem się z nimi. Obydwaj zobowiązali mnie wtedy, że gdyby w życiu cywilnym spotkały mnie jakieś kłopoty, powinienem ja albo moja rodzina zgłosić się do nich po pomoc. No i, właśnie ta alternatywność ewentualnie interweniujących podmiotów, bez reszty problem wyjaśnia.

Począwszy od roku 1980-go spotykałem się z różnymi głosami w prasie na temat procesu i mojego w nim udziału. Informacje te miały rzeczowy charakter. W pewnym momencie, w związku z nowymi unormowaniami ustawowymi zostałem pozbawiony statusu kombatantha, od decyzji tej nie odwołałem się. Bezzasadnie i napastliwie zostałem zaatakowany dopiero w roku 1990-ym przez Tadeusza Płużańskiego na łamach "Życia Warszawy". Stwierdził on, wymieniając nazwiska, że członkowie kompletu sądownego byli funkcjonariuszami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, co się zaś tyczy mjr. Łapińskiego, to nie ma dowodów, jednakże "można przypuszczać, że i on był". Zarzut, zakładający taką dwuetatowość oficerów służby sprawiedliwości jest oczywiście absurdalny i wynikał wyłącznie z niechęci do dawnego oskarżyciela, jednakże został we mnie wymierzony pocisk o szczególnej sile rażenia, bo choć posądzenie niestanowcze, pochodziło ono od człowieka, który był rzeczywistą ofiarą stalinizmu /odcierpiał 8 lat więzienia/, jest profesorem wyższej uczelni i działaczem Związku b. Więźniów Okresu Stalinowskiego - a więc, jakby się mogło wydawać, osobą w pełni wiarogodną. Licząc się właśnie z rzeczywistym pokrzywdzeniem Płużańskiego przez ówczesny wymiar sprawiedliwości, i to przy moim faktycznym udziale, napisałem do niego, proponując spotkanie, w czasie którego odpowiem na wszelkie pytania i wątpliwości. List pozostał bez odpowiedzi.

Casus T. Płużańskiego stanowi szczególnie przykładowy nieprawdopodobieństw, zaskakujących nas w tamtych czasach. Oto we wspomnianym artykule "Życia Warszawy" przyznał on, że po wyjściu na wolność wstąpił do partii, aby w ten sposób budować socjalizm z ludzką twarzą. Przypadkowo, dostałem kopię prośby Płużańskiego o zwolnienie przedterminowe. Pisze w niej, że po przestudiowaniu podstawowych dzieł - szczegółowo je wylicza - z zakresu marksizmu-leninizmu stał się "świadomym marksistą" oraz, że aprobeuje wymierzone mu kary, bo tak "karzą wszystkie kraje i systemy za podobne przestępstwa". Oczywiście, nie przywiązywałbym wagi do tego elaboratu, bo sam pisałem lub dyktowałem swoim klientom podobne prośby, jednakże okazało się, że ta deklaracja była w pełni szczerą i została całkowicie dotrzymana. Autor, działający po wyjściu na wolność w warunkach pełnej swobody, wybaczył reżimowi, który go upokorzył i wrogo potraktował, poczem istotnie zajął się budową socjalizmu. Wykładał między innymi w szkole partyjnej. Kiedy okręt zaczął tonąć, Płużański rzucił legitymację partyjną, poczem w wyniku kolejnego przeobrażenia stał się jednym z najbardziej bezwzględnych oskarżycieli dawnego wymiaru sprawiedliwości i zatrudnionych w nim ludzi.

Artykuł w "Życiu Warszawy" sprawił, że zgłosiło się do mnie wielu dziennikarzy i trzech reżyserów filmów krótkometrażowych. Rozmowy te przyczyniły się do przypomnienia sobie przede mną wielu okoliczności, dotyczących procesu. Jeśli pisano o mnie, to bez napastliwości, w pewnych przypadkach nawet z częściowym zrozumieniem mojej ówczesnej sytuacji. Tylko jeden artykuł, w "Prawie i Życiu" był niesprawiedliwy i nienawistny. Wszelako najdotkliwszym, druzgoczącym wręcz ciosem

stał się dla mnie fragment "Rewizji nadzwyczajnej" z 7 lipca 1990-go roku. Występujący w niej syn rotmistrza, Andrzej Pilecki zarzucił mi w programie o tak wielkiej oglądalności, że kiedy bezpośrednio po zapadnięciu wyroku p. Maria Pilecka interweniowała u mnie w sprawie męża, miałem powiedzieć, że "mąż to wrzód, który należy wyciąć". Zarzut ten wywołał zrozumiałe oburzenie i spowodował różnego rodzaju ostre reakcje. W ciągu osiemnastu lat rozliczania mnie - najdotkliwsze a towarzyszyło im odczucie całkowitej mojej bezsilności. Stosunek do mnie zmieniło wielu znajomych a wśród nich również tacy, na których mi zależało. Władze adwokackie teraz dopiero wszczęły postępowanie w celu skreślenia mnie z listy adwokatów, jakkolwiek już nie wykonywałem zawodu. Zostałem pozbawiony członkostwa w Środowiskowym Kole ~~AK~~ na Ochocie.

Zarzut Andrzeja Pileckiego jest, jak teraz i ze znacznym opóźnieniem dowiedziałem się, wyłącznie jego autoportret. Oczywiście wykluczam złą wolę, ale stało się tak, że przed pięćdziesięciu laty młody chłopiec zapisał w pamięci błędny obraz sytuacji, powstały wskutek przeniesienia scenerii sądowej w inny czas i miejsce, oraz w wyniku pomylenia osób.

Z p. Marią Pilecką nigdy nie rozmawiałem w swoim biurze i jest a priori nieprawdopodobne, aby zabiegała o pomoc właśnie u mnie - prokuratora, który oskarżał jej męża. W dodatku, aby czyniła to w przerwie międzyinstancyjnej, a więc przed wyrokiem Najwyższego Sądu Wojskowego z którym ja nie miałem nic wspólnego. Wprawdzie zdarza się, że członkowie rodzin, pragnący ratować swoich bliskich mają się nawet całkowicie irracjonalnych sposobów działania, jednak wykluczam, aby p. Pilecka mając zamiar udania się właśnie do mnie, nie poradziła się wcześniej kogokolwiek a zwłaszcza obrońcy męża, który to adwokat wykazał się dużą solidnością.

Wkrótce najbardziej miarodajnie dowiedziałem się, na czym polega błąd, popełniony przez Andrzeja Pileckiego. Oto, zdruzgotany wręcz wymową tego, co w "Rewizji" powiedział o mnie, zatelefonowałem do jednego ze współreżyserów filmu "Witold". Panowie ci wcześniej byli u mnie i nagrali moją wypowiedź. Było dla mnie oczywiste, że wiele istotnych rozmów w trakcie robienia filmu musieli oni przeprowadzić z członkami rodziny Pileckich, stąd zapytałem swojego rozmówcę, co on sądzi o postawionym mi zarzucie. Stanowczo zarzutowi temu zaprzeczył oświadczając, że wspólnie z kolegą pytali p. Marię Pilecką, czy istotnie rozmawiała ze mną w sprawie męża i uzyskali odpowiedź, że raz "skierowano ją do jakiegoś oficera, ale nie wie, czy był to mjr Łapiński".

Z uwagi na drażliwość powstałej sytuacji, zmuszającej mnie do podjęcia polemiki z członkiem rodziny Pileckich, uznałem, że nie wypada mi prosić wspomnianego reżysera o jego osobiste zaangażowanie się w tę sprawę. On jednak jak gdyby odgadł moją rozterkę, bądź świadom oczywistej bezzasadności zarzutu, całkowicie z własnej inicjatywy wyraził gotowość poświadczenia na piśmie tego, co powiedziała im p. Pilecka. Poświadczenie takie istotnie otrzymałem.

Ostatnio pozyskałem nowy, cenny i trudny do zakwestionowania dowód. Oto jeden ze znanych polskich reżyserów, w ramach przygotowań do filmu fabularnego na temat procesu Witolda Pileckiego rozmawiał z córką Rotmistrza i dowiedział się od niej, że w odróżnieniu od swojego brata ona ma wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście mama rozmawiała ze mną.

Sprawę, szczególnie krzywdzącego mnie pomówienia porządkuje i ostatecznie wyjaśnia Janusz Krasinski w swej książce "Na stracenie", będącej zbeletryzowanym pamiętnikiem byłego więźnia Mokotowa. Wiele miejsca poświęcił autor Witoldowi Pileckiemu. Nie ulega wątpliwości, że po wyjściu na wolność autor rozmawiał z p. Pilecką, bo tylko od niej mógł się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądała nasza rozmowa. Miała pojeść do mnie na sali sądowej i wtedy usłyszała kilkakrotnie powtórzone w liczbie mnogiej i bezosobowo słowa "wrzody, wrzody". Rozmowy takiej absolutnie nie pamiętam, ale oczywiście nie wykluczam. Cokolwiek jednak powiedziałbym wtedy, nie było przeznaczone dla niej, lecz dla licznych na sali, służbowo czujnych funkcjonariuszy Różańskiego. Usłyszała przypad-

kowy fragment liturgicznego tekstu, a powierzchowność mojego osobistego zaangażowania się w tę, skąd inąd kłopotliwą dla mnie, rozmowę tłumaczy, dlaczego jej w ogóle nie zapamiętałem. Nie potrzebuje przekonywać, że taka właśnie, źródłowo odtworzona wypowiedź moja, choć politycznie naganna, plasuje się na całkowicie przeciwległym biegunie w stosunku do upublicznionego zarzutu. Okazało się oczywistą nieprawdą, że w warunkach intymności, bo w swoim biurze brutalnie potraktowałem, godząc bezpośrednio w jej męża, zdruzgotaną dopiero co zapadłym wyrokiem i poszukującą pomocy kobietę.

Jest możliwe, że w ogóle nie stałbym się ofiarą pomówienia, gdyby autor "Rewizji nadzwyczajnej", wiedząc, że będzie o mnie mowa, postąpił zgodnie ze swoją stałą praktyką i porozmawiał ze mną, tworząc mi w ten sposób szansę obrony. Nie doszło do tego, lecz nie złej woli a jedynie pod wpływem błędnego i biologicznie uprawdopodobnionego przekonania, że także ten prokurator już nie żyje.

Okręgowa Rada Adwokacka w Warszawie, częściowo pod wpływem słusznego oburzenia, częściowo zaś dlatego, że zawiść nie tylko u kolegów profesjonalnie miernych, stanowi immanentną cechę adwokackiej duszy, wszczęła postępowanie o skreślenie mnie z listy adwokatów. Po trzydziestu latach, wydawało się rzetelnej, mojej pracy i trzydziestu siedmiu latach obrony wojskowej. Sięgnięto po tak zwaną fikcję prawną, polegającą na cofnięciu się do momentu wpisywania mnie na listę adwokacką w roku 1953-im. Gdyby ówczesne władze adwokackie wiedziały o zarzucie postawionym mi przez A. Pileckiego, to nie dokonałyby wpisu. Przyjętej koncepcji prawnej towarzyszyła fikcja polityczna, ~~że~~ ~~nie~~ ~~zważyć~~, że decyzję w mojej sprawie podejmowałaby ustanowiona przez partię komisaryczna rada adwokacka. Skreślono mnie a Naczelna Rada Adwokacka nie uwzględniła mojego odwołania, wobec czego sprawa znalazła się w NSA. Tutaj zapadł wyrok dla mnie korzystny, orzeczenia obydwu Rad z powodu oparcia ich na błędnej podstawie prawnej zostały uchylone.

Wszczęto nowe postępowanie, w trakcie którego przedstawiłem wspomniane oświadczenie reżysera filmu "Witold", dotyczące rozmowy z p. Marią Pilecką. Dwaj wyznaczeni przez Radę a mnie nieżyczliwi koledzy otrzymali zadanie zweryfikowania tego dokumentu. Tendencyjność ich działania jest nadto wyraźna, bo zamiast usunąć ewentualną przeszkodę obeszlili ją dookoła. Nie odbyli mianowicie bezpośredniej rozmowy z p. Pilecką, zasłaniając się tym, że była niedysponowana, przesłuchali natomiast A. Pileckiego, który bez problemu potwierdził samego siebie. Skreślono mnie ponownie i sprawa po raz wtóry znalazła się w NSA.

Czekałem na termin rozprawy, dysponując nowym i nieznanym dotąd władzom adwokackim dowodem, jakim był cytat z książki J. Krasińskiego. W czasie mojego oczekiwania pojawił się w prasie zbiorowy list wybitnych przedstawicieli Polonii Amerykańskiej. Zawierał on żądanie napiętnowania osób winnych osądzenia i skazania rtm. Pileckiego a, co gorsza, stawiał na równi sprawę gen. Fieldorfa "Niła". Niezasadna paralelność tych spraw, całkowicie różniących się co do podstawy wszczęcia śledztwa i metod jego prowadzenia, jest niestety nadal podtrzymywana. Uprzytomniłem sobie wtedy, że w istocie procesuje się w sprawie o niewielkim, za ledwie jednostkowym znaczeniu, gdy mój udział i prokuratorowska aktywność w procesie grupy Pileckiego stanowią fakty bezsporne. Z kolei nawet satysfakcjonujące mnie obalenie krzywdzącego zarzutu nie przyniesie mi spokoju, bo nie uwolni adwokatury od problemu tego byłego prokuratora i wobec tego nie ustaną bezpośrednio naciski na władze adwokackie ani ich krytyka za tolerancyjność lub opieszałość postępowania. Pod wpływem tych refleksji cofnąłem swoją skargę. Zawiadamiając o tym obydwie rady adwokackie, poprosiłem jedynie o podanie mojej decyzji do wiadomości środowiska, która to prośba została spełniona.

Po roku 1956-ym doszło do uchylenia wielu wyroków, opartych na fałszu lub przymusie i skazujących niewinnych ludzi. Sprawa rtm. Pileckiego z uwagi na jej odmienny charakter długo czekała na poddanie jej rewizji nadzwyczajnej, bo mimo nacisków, zwłaszcza ze strony Towarzystwa Opieki nad Oświeceniem jeszcze w lipcu 1989-go roku Na-

czelny Prokurator Wojskowy nie dopatrzył się merytorycznych podstaw do wystąpienia z inicjatywą rewizyjną. Rozprawa odbyła się dopiero 11.X.1990-go roku. Zapadł wprawdzie wyrok uniewinniający, ale nie zostały obalone podstawy faktyczne skazania a jedynie dokonano nowej ich, obecnej oceny politycznej. Przechowywanie znacznej ilości broni, amunicji i materiału wybuchowego uznano za przypadek mniejszej wagi, którym to pojęciem zwykło się określać na przykład nielegalne posiadanie przez osobnika o nienagannej opinii, pojedynczej i nie w pełni sprawnej sztuki broni.

Na rozprawie rewizyjnej długo wypowiadał się jeden ze skazanych - Makary Sieradzki, który wyraził między innymi przekonanie, że komplet sędzący w jego sprawie to jedynie figuranci, bo właściwy wyrok zapadł gdzie indziej. Powiedział również, że znajdował się już w krańcowo złym stanie zdrowia i tylko moje energiczne działanie, jako jego obrońcy uratowało mu życie. Istotnie p. Sieradzka powierzyła mi w pewnym momencie sprawę męża, o czym z własnej inicjatywy nie mówiłem wcześniej, bo wszystko rozgrywało się w ramach mojej praktyki adwokackiej. Pani Sieradzka została do mnie skierowana przez ludzi, którym znacznie dopomogłem w okresie mojej pracy w Departamencie. Te same osoby, członkowie znanej warszawskiej rodziny, skierowały do mnie kolejno trzy wdowy po wyższych oficerach, skazanych w fikcyjnych procesach po roku 1950-ym. Przeprowadziłem tym paniom postępowania rehabilitacyjne i uzyskanie odszkodowań natury materialnej. Wspominam o tym między innymi dlatego, że we wszystkich trzech sprawach bardzo korzystne orzeczenia wydał były członek kompletu sędzącego w sprawie rtm. Pileckiego - płk Badecki. Nie wiem, jaką rolę odgrywał w sądownictwie wojskowym po roku 1950-ym i wobec tego może to, tak dobre orzekanie Badeckiego stanowiło akt jego osobistej ekspiacji.

Okres pięciu lat uznajemy na ogół za krótki, za ledwie ułamkowy odcinek sędziwego wieku, ale dla tych spośród nas, którzy znaleźli się w służbie sprawiedliwości Ludowego Wojska Polskiego jest to okres o pojemności wydarzeń, równej niemal epoce. Bywały naszym udziałem również wydarzenia satysfakcjonujące, ale rzadko i było ich niewspółmiernie mało w stosunku do istniejących potrzeb. Resztę stanowiło - staram się uniknąć przesady - właściwie pasmo zagrożeń, przeczekañ, uników a pośrodku bezwzględne, jawnie dramatyczne uzależnienia, które nieraz pozostawiały po sobie trwałe urazy psychiczne.

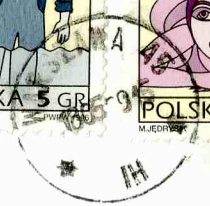
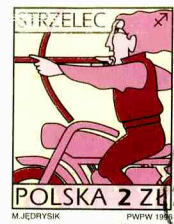
Udało mi się uniknąć więzienia, szczęśliwie dla mnie zdemobilizowano mnie na początku 1950-go roku, zanim, przy walnym i niezbędnym udziale wojskowego wymiaru sprawiedliwości, stalinowski terror w Polsce osiągnął swoją szczytową pozycję. Jedyną dolegliwością, tym razem natury zdrowotnej, wyniesioną z tamtego okresu była poważna nerwica, której leczenie dziwnym zbiegiem okoliczności trwało niemal tak długo, jak jej przyczyna.

- o -

Z perspektywy wielu lat, a więc z bezpiecznej już odległości pozwalam sobie czasem na refleksję, może nie zupełnie żartobliwą. Wydaje mi się wtedy, że powinienem zobiektywizować nadto krytyczną ocenę minionego okresu historycznego i przyznać, że właściwie uprawiana w nim była polityka równych szans. Przecież tamten reżim, jak gdyby wzorem mitycznego Kronosa, pożerał także własne dzieci, aby za nadto nie wyrosły. Gdzież indziej, jak nie w totalitaryzmie zdarzało się tak, że w pomieszczeniach więziennych, niemal obok więźniów reżimowych, zajmowali wyznaczone im cele kolejno: przywódca partii, marszałkowie i generałowie sił zbrojnych, prominentni politycy i wśród nich, niegdyś nękani przez sanacyjne rządy weterani KPP. Nie mówiąc już o tym, co się działo w ojczyźnie komunizmu i w krajach bratnich.

Na takim oto, realistycznym tle, sądzę, powinienem staranniej ważyć osobiste pretensje do ówczesnych władz.

53



PROGRAM 1 TVP S.A.
Telewizja Edukacyjna

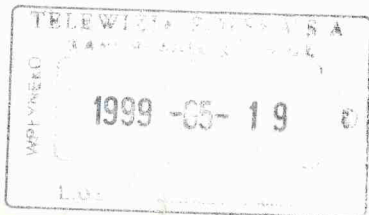
W Pan

Red. Dariusz Baliński

ul. J.P. Veronioza 17

00-999 Warszawa

POLECONY



Ad.: Czesław Sapinski
ul. Marynarska 75 m. 5
01-802 Warszawa

- 1. Pilech
- 2. O sobie

nie było cięcia prymusa
 tym procesie]

Osi przynali nie do 3 nęryhlo's
 bwa. -

Pilech to rledety niosiel, ltoicy
 owubeli - (Rozianli)

- gwanie szl ten

~~901~~

Stawiać nęrych siebie Alouco's.

Znaten szion = . -

Mejone pory sie zytobic do zwolnien
 wzdowant sie ltoz pulewiz oledziawc
 o opiekostin procesie
 wytypowat cie - oficer - nie wgt odubic,
 nie nęryem wiaz elst - b taine - zpozowien
 is : co sidre .

Gyftien pod leten węgredy, ale innego
podjętego nie wykonano

Pilecki się przeszedł, u siebie dokumentację
z dowodu z bronią. | on przeszedł się do wsi

Gyftien żyjący - szoki - ciociach o faktach prze-
życia - z wieloletnim więzieniem. -

Orientacja jest to grupa patriotów wziętych
w distansie szereg nie uciekły.

Widzę tylko formalny swój udział, bo to
sprawa uwolnienia epauet represyj.

Nie sądzę, czy Kapinili, czy Pilecki. -

Od r-ny neu. prob. Podleskiego - meeting
(Szerebista) dostaje zjedzenia kawy na kurtce

i podstawowe trzy polityczne wytyczne.

Melduję się u Zarebskiego i pytam, czy
można starać Pileckiego i Szerebistę.

J study otrzymał odpowiedź w obecności Pod-
leskiego

Przed nim z instancje (olueq. i reorganizm)

ale mogą być upewnić, że zjedzenie kawy
inierent nie będzie wykonane.

Dla mnie było to znaczące. -

(Pilecki się otworzył - przyszedł, bytem powiedział
że nie będzie wykonano ścieżki.)

Prośba o staranie - czeka dłużej. e

"Tomasz" Tajdel, (Mehem Sieredzi i
próba renowacji w Biewta) (Pilecki uwiad
w UB) - cotwita zeznania, stan, zwiady
z wyjądem w sprawie.

Wygodzi o Ustadi'e - Pilecki - Ruzencki

osobliwosc - chociec zachowajac, do

47. roku, - (restio denliwia aditanti
Sprzedawczego - polowy gen. ref obawy
porictwa panstwa.) is go ralegacja
do swojej kompanii. u Ah.

Po waznym sefowaniu u todi, cydek
sio nie sowediten. - p pomeien edde
gih - on obieci zong enenlenity. -
Moldere prelorenien.

pit. Slouch z-ce Moldere - (pouci'sego
prerere Redy Adshlect'e. - conesian
propowis ulop. Pojedeniem do wodow.
(tu pomeien kumpierky.) udatien i zotaien
u polwutune, insigilozary, ne podsochlu. i
u tej etnostere nizoboju - wudu = G. Z. Y
i u tej etnostere uzucroz do zpuery Pile-
diego. Gdybyr sedit, ie cwa sprawy.

Nie wien, czy byn sio den towarit. - ale tej
wz teule upadta - ko neclerian i tak

tak a ady porictwiel'ie nie techn
uzielu swerel. - -

Po pragnie wzprawa u edukatune. -
sprawa wrodw.

- 4 -

- Ony Pan je posívan odúvici' (kotabúti)
 nie odúvici', čo je väčšou presídlená
 žé uva sprava, a oníby to dary sery
 denentrie - nie vltóby to ošerčom,
 a ja zvelatbyu sig u pívny chéubúdyo.

↓
 Phta Gredat - z uvy presídleny
 (co procesie itae) ne vltóby to
 vopaniú vdie, obciatú pýicade.

↓
 Na ían eternetyg zotad netem
 bohetem, eteo vlted'
 eriatse, pvelúdyo. -

↓
 polubetov kyt nedevnyu tybilien

Na procesie posídleníu sig litugie-
 nym isyptien - nepisanyu pvec Polles-
 lingo. - To je ía to innu polubetov

- Na straccie - Janozze Uerini-
 Hiego. -

stu. 257. |
 Verova - Biatyrtol 92.

Gresian s. Juliane w. 1912. Sosnowiec
Pogon

Studował UJ. Wydz. prawa 30-33

Ukończył UW. 35. Wydz. prawa (bez jednego)
zdań u 48. (męz. praw)

dzieci: Kider 41
Lingorhof 45
Piotru 56.

obs. szkoły podch. roz. wst. 33-44. (wł. wst.)
mob. d. ce. Tabiszewski. (u 33 P.P.)

w kamp. wresn. p.o. d. ce. bat. 32. p. art. lch. 45
u 35 P.P. ^{kapł. Passandoufer} Boenstedt. Różan. - wiadawa (gdzie)

35-40 inżynier PZAN. - 42-44 ZUC AL
P> „Bredia” walczył s. partyzant. węgry i prus
u 44

inżynier walczył w AL na st. d. ce. kompani.
uczestniczył u obronach na podleg 2 woz.
u 47 woz. partyzant.

IV Oddział OOP - KŁU 46. wch. (po akcj. specjal.
oddział Oddział. Polki -
wczasy

14. II 45 - LWP. - wydz.) Szobonictwa wojtkowego

4. I. 45. oficer śledczy wojtk. pow. Oleszów
u 46.

6. IX 45 - podpułkownik u wojtk. pow. Oleszów u
46.

od 15. II 46 - 3. IV 47 pułkownik (brat
pułkownika w. u 46.)

4. IV 47 - referent d.s. Stashevich. oddział
wzrostu strażników w Dep. Strz. Spr. MON.

4. VII 47 - st. pom. szefa wydz. Głównego Dep.
Strz. Spr. MON.

27. V 49 - 17. XII 49 liczn. religij. starostw
i konsultacji z op. Genyrd Dep
ST. Sprawy Mosk.

18. XII 49 - Dysp. Mosk.

27. II 1950 - promocyjny ob. rezery.

w zdanie 19. II 48.

od kwietnia 1945 do lutego 1946 uczestniczen
nie w delegacji do Min. Spraw Wewnętrznych (Akcja Specjalna w Białostoku - jako
viceprodumetow sedu Ouzg. w Białostoku)

ppłk. Malin - ze 1. I 48 - 30. IV 49.
opinia - szef usch. Czernego. D. S. S. Mosk.

" Na zajmowanym stanowisku dosi sz. posneo
jako oficer nad puzer wartowacy. Prace jego
cechuje: niepredstnie skrupulatnosc, samodzielnosc
over widlic pownie odpowiedzialnosc.

Teoretyczne i praktyczne zeznosc obowiazujacego
ustawodawstwa przy wzorcowym wysokim poziomie
inteligencji over zdolnosc wybliego pojnowadz
i traktow orientacji - skutknie zasadnic i cel-
nosc podjnowadz przez ulga decyzji.

Nad wyraz ambity (w zrosob odbierajacy od
precizne nowny, sbiadom swobet walnosc osobistych
wynega nalezster acny ze strony swoich przeb-
zonych i subtelnego traktowania. ...

oblicie polityczne we budni zdanem mowin
czadnych zebrowani. Opinia ts bawis ze szester
obserwacji ppłk. tapinich. w okresie przenie du-
ketych z w w uspiwac.

Zawsze treści podejmowanych przez niego decyzji w sprawach politycznych, ich wielość i doładowane wyposażenie świadczą o rzeczywistym stosunku do władzy i ustroju państwa. Stosunek do Związku R. i partii demokr. lud. pozytywny. Ortakulski dawał pomoc przy podjęciu wszelkich możliwości.

Rezerwując pozycję ocenianego p. Th. z. jako wartościowego oficera odd. w. P. przystępnego do ogóln. służby zawodowej i wyrażenia opinii że dzięki posiadaniu przez niego walorom wartoby być po pewnym niedługim okresie awansowany w hierarchii ofic. służby spraw. i wykorzystany na ^{Samodzielnym} stanowisku.

18. V. 48. Decz. Dep. służby. Spraw.

"Opinia ogólna p. Th. Molder
"... na ogóln. oficera dobrego"

5. V. 48. o medale "Złoty p. Th.

Wp. z. o. przebieg w 3 wydz. Komisji Dep. służby. Spr. MON od 4. V. 47. pod nim zwrócić uwagę w tymże wydz. od 13. IX. 47. w okresie swej pracy u referencie utasiewiczającym wp. topnieć uzyskać się jako b. zwinny i skupiający w wyłonieniu wydz. obywatelski służb. Dzięki walecznym działom przedstawił ower reprezent. i inteligent. opracowywał przez niego raporty odzwierciedlające ich delf. i kulturowe. Wzrostem celów politycz. kraj.

2 eneliny treisi poduina. puez ⁴ n'ego degei
 shupletu' obseuagii ouer opierek os se silu
 odbrudu u nim uonowal dot. zapadier
 plitkandy - striedhem z'ego poykshore ustonn-
 lowanie os do obceni uenyntoiu' iit scoue
 u s'ozbie i pore s'ozbe uiv. tapitit
 zechowie os u sposob ueneganuy - stowitac
 owu. zdyapltowarego i kulturnego oficere
 u P.

Mesec me oughedie syer' porotane joby
 mejene t. ouer fahit, i' od otatulo euanor
 uplynsi i' obre duoch i' pit lat uwarom
 ze miv. z' resingie u euanowade go
 do A. p'itk.

Sret. Uzd. Lunnego D. S. S. Mon
 p'itk. Helder.

5. V. 48.

Na Ovanu z'gadem sig. i unosen
 papieren.

Sret. Dep. S. S. Mon.
 p'itk. Helder.

7. V. 48.

22. VII. 48. miaroway do stopnie p'itk.

30. IX. 48. dzien. pers. 48. 30. I. 48.

(od Liedy j'at mejnem qudian 40
 u. b. I. 48.

19. II. 48. zyciowid

... j'atem pogledu lew. couds opartych u
 dobitnie uelintatit creg stowidam os do
 uisid u tuedie uic 3-letit s'ozbe u'p'lyst

-8-

27. II. 50 zastupca a uvodca.
 univ. kani - svet. Dep. s'ruky
 = pr.
 do Dep. Personalnega.
 notov.

z cresto dupag'i verial'ej z'lyzay ze
 švedsk'ien kleses obkys...

knjz' pautsradl. -
 6. VII. - 28. VIII. 48 > z'pitat do 19. IX
 urlop odmoroty.

po solwelu - puec. jalo vedelator 5
 wyd. konowlin od 10. XI. 53
 downce wytlony zered seclawitoy
 wylovey obueq. wawrutey
 od. 1955 aduohet resp. No. 5 (Edmond
 obwica weuy. Bieyat)

OSTAPOVIZ. | zmlenice zmet se dostavilo
Briem | k tomu zence v redie se kofled.

Szet bospicentive v B. dymtelu
ze zveny. -

oprava truhl dtoped, utdy ostale-
ti se nose sanolod kIBW, vidi buen
mediotaci. (chiam ich dei do douiego sedl
aj. hes, ele reputovaten t milie zotata obobaron

buet ne zedit in, ne odstavat
v sprave menzemy. (i fakt se povol
konserveni)

^{ppih.} Shach (ter ofica Ah). - zedit
oprave Pilediego.

Tapinski
promutor